Nr. 32 (1128). Warszawa, dnia 27 Lipca (9 Sierpnia) 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. 1?.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Holandya i trójprzymierze.

Rozchodzą się pogłoski o zabiegach pierwszego ministra holenderskiego, Kuypera, w celu wprowadzenia Holandyi w związek potrójny Niemiec, Austro-Węgier i Włoch, jako czwartego sprzymierzeńca. Minister był rzeczywiście w Wiedniu i rozmawiał z Gołuchowskim, był rzeczywiście w Niemczech, chcąc się dostać do Wiednia, będzie rzeczywiście i we Włoszech, gdzie przecież niekoniecznie zaraz trzeba mieć w zanadrzu przymierze, aby być mile powitanym i samemu miły znaleźć pobyt. Gadulstwo, wieszczbiarstwo dziennikarskie podsuwa może Kuyperowi to, o czem on sam nigdy nie myślał; może z zamiaru zawarcia umów handlowych, wyjednania pewnych ulg w taryfach — zrobiło postanowienie wejścia do trójprzymierza; może wprost tylko ukuło wiadomość jako domysł, przy trzpiotowatości mogący ujść za prawdę, a choćby tylko poważnej prawdy zapowiedź. Pierwsi puścili wiadomość w obieg Anglicy: najpierw jakiś mniejszy organ, potem sam wielki *Times*. Dostała się ona z Anglii do Niemiec i Francyi i porusza jeszcze dziennikarstwo obu krajów. W braku faktów są słowa, słowa nie bez pożytku. Wyczuwa się z nich przyszły apetyt na Holandyę i przyszłe ręce, które go zaspokoić nie pozwolą.

Dziennikom niemieckim wogóle przymierze i handlowe i polityczne z Holandyą wogóle się podoba. Rzecz prosta, cesarstwo niemieckie stanęłoby już jedną stopą u ujść Renu — marzenie przyszłości, może już niebardzo dalekiej. Holandya jest tak słabą — rozumuje *Post* — a prawo siły tak dziś silnem, że interes samozachowawczy nakazuje Holandyi garnąć się do Niemiec; bez potężnej opieki nie ocali ona swych osad przed chciwością Anglii. Przymierze byłoby korzystniejszem dla Batawów, niż dla Germanów: słuszna przeto, aby im Niderlandy zapewniły *pewne korzyści u ujść Renu*, w zamian za bezpieczeństwo i stanowisko. Wymiar tych korzyści, jakieby broniąca Holendrów od chciwości angielskiej bezinteresowność niemiecka odnieść miała prawo, oznaczył z góry jeden z profesorów, prawdziwe *enfant terrible* patryotyzmu niemieckiego, rwącego się do obrony Holandyi: Niderlandy całe jak są, muszą być rozebrane; francuskie południe zabierze Francya, flamandzką Belgię i całą Holandyę—Niemcy. Tego nie odwróci nikt...

Jasno i szczerze. W samej rzeczy, Niemcy, przywróciwszy sobie granicę Renu na południu, nie zadowoliliby się nią już teraz na północy: marzeniem ich jest Holandya cała, całkowita, nietknięta. Marzenie to podsyca w nich ustawicznie rozwój potęgi wielkiego cesarstwa. Oddają Francuzom Belgię sfrancuziałą jeszcze w wiekach średnich; ale północnych Niderlandów nikt inny mieć nie powinien i mieć nie będzie, tylko oni — Niemcy. Czy myślą przytem o Anglii, czy im się przypomina z dziejów ta kardynalna zasada rozumu stanu angielskiego, że na pomorzu niderlandzkiem żadne inne panować nie będą wpływy, prócz angielskich? Ktokolwiek po stronie Niemiec podjąłby zadanie sprzymierzenia się z Holandyą, musiałby zarazem zwalić na siebie brzemię walki z Anglią. A nie byłaby to jakaś czcza parada — przez dyplomatyczny honor odprawiona; byłaby walka na śmierć i życie. Anglia zbyt dobrze odczuwa teraz i w przyszłości już stale odczuwać będzie swe interesa narodowe, aby naprzeciwko siebie po drugiej stronie zwężonego morza Niemieckiego mogła znieść spokojnie — bezinteresowność niemiecką, czy nawet francuską. Opanowanie ujść Renu przez obcego byłoby zagrożeniem własnego jej bytu.

Anglia dobrze pamięta przygotowania Napoleona w r. 1804 i 5 i tę wyprawę, która miała się zakończyć najazdem, powstaniem irlandzkim, podbojem, a choć się zakończyła rozpędzeniem floty i jedynem może niepowodzeniem w życiu wielkiego wojownika, które jego organizatorskiemu geniuszowi zaszczytu nie przynosi— samo jej wspomnienie, sama myśl o wykonywanym już, dzięki tylko posiadaniu Niderlandów, zamiarze — wystarcza do wzburzenia patryotyzmu i ocucenia politycznego rozsądku Anglików. Albion nigdy na usadowienie się Niemiec nad Renem dolnym, pomorskim, nie pozwoli; nie pozwoli nawet na związanie się Holandyi przymierzem z Niemcami. To przedewszystkiem powiedzieć by sobie musieli politycy niemieccy, Bülowy, czy też więksi od nich; o tem również pamiętać powinni dziennikarze, mącący dziś wodę dla wypuszczenia w powietrze kaczki. Ale i pomijając już Anglię, przymierze takiej Holandyi z Niemcami, a pośrednio i z trójprzymierzem, nie wytrzymuje próby rozsądku. Obrona kolonij holenderskich? Na to czas przed wojną, a na wojnę z Anglią przecież się nie zanosi. Korzyści handlowych Holandya, rządząca się zasadą wolnego handlu, z przymierza nie odniesie, bo Niemcy nie zmienią dla niej swych taryf — dla jej tylko pięknych oczu, a zawiść angielska jest zbyt pewna, aby ją na siebie bez żadnego skądinąd pożytku ściągać chciała. Zamiast przy-

mierza Niemcy mają dla Holandyi—podbój. Gdyby kiedykolwiek przyszło do wojny z Francyą, bez pomocy angielskiej, najpierwszym czynem wojennym Niemiec byłoby zajęcie Holandyi przez armię cesarsko-niemiecką. Potem musiałyby się Niemcy rozprawić z Anglią. Przymierze stopy niemieckiej z ziemią niderlandzką — wymuszone na niej gwałtem — innego być nie może.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W dep. Finisterre w Bretanii, w dep. Isère i Gard na południu, ludność gdzieniegdzie stawiła silny opór zamykaniu stowarzyszeń zakonnych i szkół. Zresztą czynność prawna dokonywa się spokojnie, jedynie tylko z protestami. Wybitną mowę o konieczności przeprowadzenia prawa bez wahań i zachcianek wstecznych miał Pelletan, nowy minister marynarki. Walka z klerykalizmem musi się skończyć zwycięztwem, jeśli rzeczpospolita chce mieć długą trwałość. Są w tej walce i ideowe też żywioły, jak to usiłowaliśmy wskazać na tem miejscu. Dwa obozy pojęciowe walczą z sobą o przekonania, poglądy, o pewną wiarę w dobro, które na świecie być powinno. Z tej strony zapatruje się na sprawę, tak mocno zaognioną, w dziennikarstwie niemieckiem *Magdeburger Ztng*. Niezmiernie płytkiem jest wykuwanie argumentów przeciwko wykonywaniu prawa z d. 1 lipca 1901 r. z tego faktu, że niemal wszystkie dzienniki niemieckie, nie protestancko-klerykalne, oświadczają się z uznaniem o energii Combes'a,— jak gdyby Niemiec nie mógł na sprawę francuską, a nawet ogólnie-ludzką, spojrzeć inaczej, tylko przez okulary nienawiści politycznej do Francyi: ma przecież okulary kulturkampfu; przy danym już temacie same mu się one nawet nastręczają.

Prefekt morski w Tulonie, Beaumont i dowódca floty atlantyckiej, Servan, otrzymali nagle dymisye. Przyczyny niewyjaśnione; śledztwo w biegu; w każdym razie jakieś nadużycia, niekoniecznie pieniężne.

Ostatni urzędnik kolejowy w Poznaniu, p. Urbański, dla dobra służby został przeniesiony do Flensburga.

Król rumuński przyjechał do Wiednia, naradził się z p. Gołuchowskim i pojechał w odwiedziny do cesarza w Ischl.

Austrya zaczyna upominać się u Turcyi o reformy.

Boerowie szybko godzą się z losem. Chamberlain po dłuższej nieobecności w Westminsterze d. 30 z. m. mógł rzetelnie gminom powiedzieć, że niepragnąłbynajmniej, aby wszystkie urzędy zajmowali ich rodacy, wolą takich Anglików, którzy zjednali sobie ich uznanie. Łuk. Meyer przyznał, że już dawno byliby zaniechali walki, gdyby nie Milner. Z winy ministra kolonij, zgarniającego teraz w parlamencie laury, hojnie sypane, widać, że samorząd będzie wprowadzony do byłych rzeczypospolitych jak najprędzej. Na jesieni już rząd przedstawi projekt kolonizacyi na koszt skarbu. Z powrotem tylko wywiezionych minister się nie śpieszy: w tej chwili uwolnienie całej masy wywołałoby objawy niepożądane. Dziewięć tysięcy rodzin wróciło już do swych zagród.

Chiny zawierają z Anglią traktat handlowy. Jednocześnie osiem mocarstw dokonywa wspólnie z niemi rewizyi taryfy celnej; nie uczestniczą w tem: Rosya, Włochy, Hiszpania i Portugalia. Kolej północno-chińska jest ciągle w rękach Europejczyków; toczą się teraz o zdanie jej układy.

Ces. Wilhelm d. 4 b. m: odpłynął z Kiel do Rewla, gdzie stanąć miał już po dwóch dniach. Towarzyszy mu hr. Bülow.

Pocieszające potwierdzenie sprawozdań naczelnych prezesów poznańskiego i zachodnio-pruskiego odczytanych w sejmie pruskim przez Bülowa podczas matactw krasomówczych przy uchwalaniu nowych 250 milionów na germanizacyę — wyszło z pod pióra p. Bevenschena, sekretarza słynnego stowarzyszenia do obrony marchii wschodniej (H. K. T.). Wyliczając imiennie majątki ziemskie, sprzedawane i nabywane, ukazuje on w ostatecznym wyniku przewagę nabycia na stronie polskiej. Nie wynosi ona pięciu mil kwadr., jak z kanclerskiego *opus* wnieść było można, ale przeważa nabytki pojedyncze i zbiorowe, przez komisyę, w sposób niewątpliwy.

Następcą kard. Ledóchowskiego został Gotti, zwierzchnik kongregacyi Episcoporum et Regularium.

W Bukareszcie nowy gabinet. Sturdża—prezyd. i wojskowość, Statescu — sprawiedliwość, Costinescu — skarb, Pallade— spr. wewn.

Sułtan uwięził własnego swego syna Reszyda, ale wypuścił go zaraz, dzięki dyplomacyi. Wielki wezyr Said i minister spraw zagranicznych Tewfik otrzymali wspaniałe podarunki.

Szwajcarya przywraca zgodę z Włochami. Silvestrelli, poseł Włoch, ustępuje księciu Arverna; do Rzymu idzie Pioda.

Kuyper, prezes holenderski, bawił teraz w Wiedniu i naradził się z p. Gołuchowskim. Nowiniarze zapowiadają przystąpienie Holandyi do trójprzymierza.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Gubernialne komitety rolnicze i głos p. St. Dzierzbickiego. „Mucha heska" i pisma rolnicze. Zakładanie ochron wiejskich. Szkoła koszykarska w Serocku. Sprawa felczerska. Potrzeby *miasta* Sosnowca.

Lato tegoroczne, nie odbierające co prawda nadmiarem upałów energii do pracy zbiorowej, w mniejszym, niż zwykle, stopniu osłabiło u nas puls życia społecznego.

Utworzenie osobnej komisyi do zbadania potrzeb rolnictwa i powołanie do życia gubernialnych komitetów rolniczych, wysunąwszy w sferach ziemiańskich na plan pierwszy konieczność należytego wyjaśnienia potrzeb najpilniejszych, skłoniło zarząd sekcyi rolnej do zwołania w tych dniach do Warszawy umyślnego posiedzenia, w którem, pomimo żniw, wzięli obfity udział ziemianie, a w tej liczbie i członkowie komitetów rolniczych ze wszystkich prawie gubernij. Obrady te dały sposobność p. St. Dzierzbickiemu do wypowiedzenia w *Kuryerze Warszawskim* kilku zasługujących na uwagę myśli w sprawie przygotowywania materyału do zajęć komitetów oraz zasad wytycznych, którémi członkowie ich

2)

Edwin Arnold.

Światło Azyi.

POEMAT.

Księga trzecia.

(Ciąg dalszy).

Zamyślony do pięknego powrócił pałacu smętny Siddartha, ze smutną miną i w smutnem usposobieniu. I nie dotknął usty wieczerzy zgotowanej, ni owoców, ni ciasta białego. I nawet nie spojrzał ni razu, gdy najlepsze wśród dworskich dziewcząt tanecznice urokiem swych popisów rozerwać go chciały. Nic również nie mówił, dopiero gdy zgnębiona smutkiem Yasodhara do stóp z płaczem żałosnym przypadła i wzdychając pytała: „Czy pan mój otuchy nie znajduje we mnie?" „Ah, luba! — odrzecze — od takiej otuchy serce mi się kraje, gdy myślę, że musi nadejść koniec blizki, a my, Yasodharo, postarzejem wkrótce! Nie kochając, kochania nie godni, słabi, starzy, zgięci. Gdybyśmy nawet miłość i życie zwartemi ustami więzili tak szczelnie, że we dnie i w nocy oddechy nasze w jedno by się zlały, czas by się pomiędzy nas wcisnął niechybnie, by kraść mą namiętność i twe niszczyć wdzięki, tak jak Noc czarna różowe blaski z górskich kradnie szczytów, co szarzeją właśnie. Tegom się dowiedział i serce moje od trwogi się ściska, jakby Miłość słodycz swą ochronić mogła przed czasem, swym zabójcą, co rodzaj ludzki starością obdarza."

Całą noc spędził, nie zmrużywszy oka, i żadnej pociechy w sobie nie znalazłszy.

W tę samą noc właśnie król Suddhodana sny miał niespokojne. Pierwszą jego wizyj trwogą była chorągiew szeroka, pełna chwały, od słońca złotego świetnie jaśniejąca, co Indry jest znakiem; lecz silny wiatr zawiał i jej fałdy święte poszarpał i w proch cisnął: stąd zbiegowisko do cieni podobnych postaci zniszczony jedwab w dłonie wzięło i ku wschodowi przez bramy wyniosło.

Drugiem straszydłem było dziesięć słoni olbrzymich, o kłach srebrnych i nogach tak ciężkich, że ziemia zadrżała, gdy w potężnym marszu po drodze południowej szeregiem kroczyły: syn króla na pierwszym znajdował się słoniu, gdy inne wstępowały w jego ślady.

Pojazd był trzeciem widzenia straszydłem, oślepiającem jaśniejący światłem, przez cztery przed się ciągniony rumaki: konie, ognistą z pysków tocząc pianę, okryły się białym obłokiem oddechu; w rydwanie młody zasiadł Siddartha.

Czwartem straszydłem było kręcące się koło, o piaście z płonącego złota, o promieniach błyszczących od cennych kamieni; na obręczy jego dziwne wypisano rzeczy; koło to muzyką i ogniem być się zdało.

Piątem straszydłem był bęben potężny, co w połowie drogi między miastem i wzgórzami został umieszczony: w bęben książe bił berłem żelaznem, tak, że się wokół rozlegały grzmoty po niebie dalekiem.

Szóste straszydło stanowiła wieża, rosnąca ciągle ponad miasto w górę, póki szczyt wzniosły nie skąpał się w chmurach. Na szczycie zaś stał książe, obiema dłońmi na wsze sypiąc strony klejnoty, tak miłem jaśniejące światłem, jak gdyby deszcz hiacyntów padał i rubinów; cały świat na wyścigi starał się pochwycić te skarby, hojną rozsiewane dłonią.

Siódmem straszydłem były głośne jęki, i sześciu mężczyzn, szczękając zębami, płakało żałośnie, i usta swe własnemi zatykając dłońmi, niepocieszeni chodzili i smutni.

Tych siedem straszydeł snu królewskiego wizyę stanowiło. Lecz żaden z najmędrszych snów wykładaczy znaczenia tych wizyj wyjaśnić nie umiał. Wtedy król gniewem potężnym zapałał, mówiąc: „Złe chwile na moje walą się domostwo, i nikt z was tyle nie posiada dowcipu, by wytłomaczyć, co wielcy bogowie chcą mi wróżyć przez to."

Mieszkańców miasta ciężki owiał smutek, bo król aż siedm strasznych wyśnił znaków, których wyjaśnić nikt wręcz nie był zdolny. Wtem podszedł ku bramie mąż w wieku sędziwym, w suknię odziany ze skóry jelenia, co pustelnika wygląd mu da-

kierować się powinni. Autor nawołuje przedewszystkiem współrolników, by, nie łudząc się pozorną znajomością spraw, oddanych pod obrady, umieli wznieść się po nad prywatne lub klasowe ich traktowanie i zajęli się w Towarzystwach rolniczych przygotowaniem treściwego, lecz wyczerpującego programu obrad komitetów gubernialnych. „Nie wolno nam — pisze on— stać na stanowisku klasowem wyłącznego a chociażby nawet przeważnego interesu większej własności; przeciwnie, należy wszystkie punkty, dotyczące potrzeb i bytu drobnej własności rolnej, czy to włościańskiej, czy małomieszczańskiej, czy drobnoszlacheckiej, traktować ze szczególną pilnością i troskliwością.“ Szczególną uwagę, zdaniem jego, zwrócić powinny takie punkty programu, jak: rozpowszechnienie wiedzy zawodowej wśród ludności rolniczej, ułatwienie tworzenia drobnych stowarzyszeń wiejskich dla celów spółdzielczych; zapewnienie drobnej własności długoterminowego kredytu amortyzacyjnego; ułatwienie komasacyi i usunięcie szachownic; podniesienie w gospodarstwach małorolnych hodowli i osobnych gałęzi produkcyi, jak pszczelnictwo, chmielarstwo, ogrodnictwo i t. p.; zaprowadzenie i rozwój drobnego przemysłu po naszych wsiach i miasteczkach; wychodźtwo ludności wiejskiej na roboty itd. Co do pominiętej w programie, niemniej jednak należącej do najpilniejszych, sprawy uregulowania służebności, to i ona, według p. Dzierzbickiego, rozważona i przedstawiona być winna nietylko ze stanowiska większej własności, lecz i z uwzględnieniem interesów włościańskich.

Autor zwraca dalej uwagę, by ziemianie, powołani do udziału w obradach komitetów, nie kierowali się wyłącznie poglądami i teoryami indywidualnemi, lecz byli istotnie „rzecznikami ogółu.“ Uważając słusznie, że setka najwspanialszych, ale w koszu spoczywających projektów, nie zastąpi jednego skromnego, lecz wprowadzonego w czyn, przypomina również, że w pracy podjętej nie powinno chodzić o piękne referaty i błyskotliwe projekty, lecz o wyciągnięcie z inicyatywy rządowej możliwie największej korzyści dla rolnictwa krajowego. Ostrzegając wreszcie z jednej strony przed nadzieją zbyt obfitych zasiłków na potrzeby rolnictwa naszego ze strony skarbu państwa, a z drugiej przed nieumiarkowanem pociąganiem niezamożnej ludności wiejskiej do przymusowych opłat na najpoważniejsze nawet cele, p. D. liczy jednak wiele na samopomoc społeczeństwa. „Dążyć przeto powinniśmy — czytamy na zakończenie artykułu — do jak największego rozbudzenia inicyatywy jednostek i stowarzyszeń, do usunięcia przeszkód, tamujących prawidłowy ich rozwój i rozkwit. Samopomocą społeczeństwo wiele stworzyć powinno i wiele stworzyć może.“

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tym głosem, gdyż nieczęsto dotąd w łonie warstwy, do której autor jego należy, zdarzało nam się słyszeć poglądy podobne. Uważając je za wyraz opinii lepszej części ogółu ziemiańskiego, który, jak mieliśmy już sposobność zaznaczyć, budzi się i u nas do życia nowego, będziemy oczekiwali niecierpliwie urzeczywistnienia tych pięknych obietnic i zapowiedzi. A sprawy rolnictwa naszego wymagają nieustannej czujności i powołują nieraz do samoobrony zbiorowej. Oto znowu z różnych okolic kraju dochodzą niepokojące wieści o klęsce, która w postaci t. zw. „muchy heskiej,“ pustoszącej łany jęczmienia i pszenicy, nawiedziła w r. b. gospodarstwa rolne kilku gubernij Królestwa, a niezwalczana energicznie odrazu — grozić by mogła na rok przyszły nieurodzajem zupełnym. Pisma, poświęcone sprawom rolnym i ziemiańskim, wystąpiły z radami i wskazówkami, mającemi na celu usunięcie szkodnika, który, umieściwszy się w dolnej części źdźbła zbożowego, między pierwszem a drugiem kolankiem, powoduje przy silniejszym wietrze kładzenie się zboża, wyglądającego wtedy, jak gdyby było potłuczone przez grad lub podeptane przez bydło. Klęsce tej, jej przyczynom i środkom przeciwdziałania poświęca między innymi dr. A. Sempołowski obszerny artykuł w *Gazecie Rolniczej*, zaznaczając w nim, że stacya sobieszyńska określa na żądanie nazwy nadsyłanych jej szkodników i gotowa jest zawsze służyć potrzebnemi objaśnieniami. Podawane sposoby walki ze szkodnikami, których tu wyliczać nie będziemy, mogą być skuteczne tylko wtedy, jeżeli wszyscy bez wyjątku ziemianie całej okolicy, dotkniętej tą plagą, będą je stosowali energicznie. Tak więc nawet walka z „muchą heską“ może mieć dla ziemian naszych pewne znaczenie kształcące, ucząc ich — wystąpień solidarnych w imię dobra własnego i ogólnego.

Rozwijająca się od lat paru pomyślnie *Gazeta Rolnicza*, niezależnie od traktowanych szeroko spraw rolnych i ekonomicznych, dotyka od czasu do czasu i urządzeń społecznych, omawiając ze swego stanowiska najpilniejsze potrzeby w tej dziedzinie. W ostatnim jej numerze spotykamy niedługi, lecz ważny i pożyteczny artykulik o zakładaniu ochron wiejskich, w którym redakcya zwraca uwagę, że obecnie, dzięki rozesłanemu przez gubernatorów w październiku roku zeszłego, cyrkularzowi do wszystkich wójtów gmin, otrzymanie pozwolenia na zakładanie ochron dla dzieci wiejskich jest bardzo ułatwione. Nie poprzestając na tem przypomnieniu, *Gazeta* podaje nawet wzór prośby do naczelnika powiatu, by, zniósłszy się z władzą gubernialną, wyrobił pozwolenie na otwarcie ochrony takiej. Sprawa ta załatwiana bywa zwykle w ciągu kilku tygodni. Dzieci robotników wiejskich zajmować się mogą w ochronie zabawami, śpiewem i drobnemi robotami ręcznemi, mogą również uczyć się pacierza i słuchać opowiadań dozorczyni, byle tylko nie używała ona książek do nauki, gdyż otrzymujący pozwolenie na założenie ochronki podpisuje między innemi zobowiązanie: 1) że dzieci nie będą się w niej uczyły czytania, pisania i katechizmu; 2) że nie będą używane żadne książki, ani pobierane opłaty; 3) że przy ochronie utrzymywana będzie książka metryk dzieci, które przyjmowane być mogą w wieku od lat czterech do siedmiu i 4) że kontrola nad ochroną należeć ma do policyi miejscowej i komitetu powiatowego dobroczynności publicznej. Główny wydatek przy założeniu ochronki takiej stanowi pensya i koszt utrzymania dozorczyni, co rocznie wynosić może około 200 rb. Potrzebna jest prócz tego duża, widna izba do wspólnego przebywania i zabaw, oraz pokoik dla dozorczyni. Są jeszcze jednorazowe koszty przy założeniu ochrony, jak stoły, ławki, tablica, szyferki, nożyki, nożyczki, papier

---

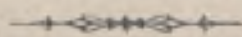
wało, chociaż o takim nikt nie słyszał nigdy. Idąc po drodze na głos wykrzykiwał: „Przed swego króla zaraz mnie postawcie, gdyż mu sen jego wytłomaczyć zdołam!“ Gdy sennego marzenia usłyszał widziadła, z szacunkiem się skłonił i w te ozwał słowa: „Maharjo! Witam ten dom szczęsny, którego udziałem większa będzie świetność, niżli wspaniałość słonecznych promieni! Siedem straszydeł, to radości siedem, z których pierwsza to jest bandera szeroka, wspaniała, z Indry znakiem pięknie wyzłocona, zdeptana i precz wyniesiona, starych wierzeń koniec zapowiada i narodziny nowych prorokuje, gdyż bogów jak ludzi dotykają zmiany, a kalpasy tak samo jak i dni mijają. Dziesięć ziemię wstrząsających słoni, dziesięć mądrości wielkiej znaczą darów, na mocy której książe stan swój dzisiejszy porzuci, Prawdy głoszeniem cały świat poruszy. Te cztery ogniem dyszące rumaki, to cztery cnoty nieznające trwogi, co syna twego z ciemności zwątpienia do światła radości przywiodą pełnego. Koło o piaście z płonącego złota, to praw wzorowych przecudowne koło, które w obliczu zdumionego świata on własną dłonią sam obracać będzie. Potężny bęben, w który książe dotąd uderzał, aż wszystką ziemię dźwięk wypełnił głośny, oznacza właśnie jego grzmiące słowo, jakiem przed światem Prawdę głosić będzie. Wieża, co nieba samego dosięga, oznacza boskiej nauki wzrost potężny, przez tegoż Buddę głoszonej na ziemi; hojną z niej dłonią rozsiewane skarby, to zacne Prawa dobrego przepisy, bogom i ludziom drogie i potrzebne. Takie jest oto wyjaśnienie wieży. Co się tyczy sześciu ludzi tak rzewnie płaczących, to znaczą oni sześciu głównych nauczycieli, których syn twój jasną prawdą i mową potężną o ich głupocie przekona haniebnej. Raduj się, królu! Pana mego a księcia czeka los większy, niż wszystkie królestwa, a pustelnika łachmany obdarte świetniejsze będą od złocistych sukien. Taki był oto twój sen! W siedem nocy oraz w dni siedem sprawdzić się muszą twoje sny prorocze.“

Te słowa wyrzekł święty mąż i trzykroć swem czołem ziemi dotknąwszy, osiem pokornych uczynił pokłonów; potem się zwrócił i wyszedł z pałacu, a gdy król rozkazał bogate dary za prorokiem wynieść, posłańcy z takiem powrócili słowem: „Przybyliśmy tam, gdzie wchodził do Czandry świątyni, lecz wewnątrz nikogo nie mogliśmy dojrzeć, krom szarej sowy, co trzepocząc skrzydłami, mury świątyni opuściła prędko.“ Bogowie nieraz biorą taką postać. Król zasmucony dziwował się mocno i rozkaz wydał, aby rozkosze nowe przysposabiać, dla uwiklania Siddarthy umysłu w sieć przyjemności wśród taneczne grona; potem u wszystkich bronzowych wrzeciądzy straże podwójne poustawiać kazał.

Lecz któż od Fatum obronić się zdoła? Raz drugi bowiem duch księcia zapragnął ten świat za swoim zobaczyć pałacem, to życie ludzkie tak miłe, jak gdyby jego fale nie tonęły w Czasu przepastnej przystani. „Pozwól mi, proszę, ujrzeć nasze miasto, jakiem jest“ — brzmiała jego prośba do króla i ojca swego Suddhodany. — „Kazałeś, królu, w swej pieczy troskliwej ludowi z przed mych oczu pousuwać brzydkie i oku niemiłe widoki, miłym wyrazem okryć swoje twarze, i wszystkie drogi przystroić wesoło, by mi to jeno sprawiło przyjemność; ja się wnet jednak dowiedzieć zdołałem, że nie jest takiem to życie codzienne, a skoro, ojcze, stoję już najbliżej zarówno państwa, jak ciebie samego, radbym więc poznać i lud, i ulicę, i powszedniego żywota zwyczaje, pracy codziennej pożyteczne dzieła, i życie ludzi, co nie są królami. Pozwól mi, panie, tajemnie się wymknąć z szczęsnych ogrodów moich; tem chętniej wrócę w ich spokojne mury, i tem już mądrzejszy, jeżeli nie całkiem zadowolony. To też, błagam cię, dozwól mi jutro po ulicach miasta swobodnie z moją powłóczyć się służbą.“ A król na radzie ministrów tak orzekł: „Ta druga wyprawa złe skutki pierwszej może snać naprawi. Wiemy, jak sokół, z kaptura zwolniony, nowego zawsze lęka się widoku, lecz jak spokojnie z wolności powraca: a więc niech syn mój już wszystko zobaczy i niech raz poznam stan jego umysłu.“

(D. n.).

Przełożył *Wojciech Szukiewicz*.



kolorowy do robótek itp., co wszystko razem oblicza *Gazeta* na jakieś 50 rb. Nie potrzebujemy chyba dodawać, jak wiele dobrego zdziałać mogą po wsiach takie urządzenia dla dzieci. Dość przejrzeć rubrykę wypadków na prowincyi, by przekonać się, że znaczna część utonięć, spaleń, pożarów itp. pochodzi tam właśnie z niedozoru nad małemi dziećmi, pozostawianemi w domu bez opieki przez zajętych pracą rodziców. Projektowane i zakładane już w wielu miejscach ochrony wiejskie mają właśnie na celu zapobieganie tym wszystkim wypadkom i roztoczenie nad drobiazgiem wiejskim pewnego rodzaju opieki moralnej.

Na inny, pożyteczny również, choć nie mający już tego ogólnego znaczenia, zakład zwrócił niedawno uwagę p. E. Maliszewski, dzieląc się z czytelnikami *Gazety Polskiej* wynikami wywiadu swego w pierwszej i jedynej dotąd w kraju szkole koszykarskiej w Serocku nad Narwią, o cztery mile od Warszawy. Szkoła, nosząca urzędową nazwę warsztatu wzorowego, założona została przed dwoma laty staraniem i kosztem sekcyi ludowej warszawskiego oddziału pop. ros. przem. i handlu, i zdążyła już wypuścić czterech pierwszych młodzieńców, wykwalifikowanych w koszykarstwie. Program zajęć obejmuje: rysunki ogólne i zawodowe, uprawę wikliny, oraz praktyczną naukę koszykarstwa prostego, meblowego i galanteryjnego z całych i rozszczepionych prętów. Nauka jest bezpłatna. Do szkoły przyjmowani są chłopcy, umiejący już czytać i pisać. Liczba uczniów z czterech, którzy się zjawili początkowo, wzrosła obecnie do szesnatu. Po kilku miesiącach zajęcia w szkole pod kierunkiem nauczyciela, otrzymującego 40 rb. miesięcznie, mieszkanie, opał i światło, uczeń może już sam robić meble i dostaje wówczas książeczkę, gdzie zapisuje się wartość zużytego przezeń materyału; po jej potrąceniu, połowa ceny sprzedażnej danego przedmiotu idzie na rzecz szkoły, a druga dla ucznia, co pozwala zdolniejszym chłopcom zarabiać do ośmiu rubli miesięcznie. Wyrabiane przedmioty, jako to: krzesła, kosze do bielizny, kosze podróżne, kosze do kwiatów, łóżka, szafy, parawany itp. sprzedawane są po umiarkowanych cenach i znajdują dotąd zbyt łatwy. Honorowy kurator szkoły z ramienia Towarzystwa, dr. Kędzierski, nie wątpi, że przy pewnem poparciu nowego zakładu przez prasę i rozszerzenie wiadomości o nim, zwiększy się wkrótce komplet uczniów i wzrosną szczupłe dotąd środki. Za pożądane uważa on na razie założenie osobnego oddziału dla dziewcząt, które, zdaniem jego, potrafiłyby lepiej od chłopców wykonywać delikatniejsze roboty galanteryjne.

Przeciw wykonywaniu przez felczerów jakichkolwiek robót przy chorych protestuje natomiast w tej samej *Gazecie* dr. B. Gorajski, żądając zniesienia u nas szkoły felczerskiej i uważając samą instytucyę felczerów za przestarzałą i szkodliwą. Domaga on się zastąpienia jej przez przygotowywanych specyalnie pielęgniaczy i pielęgniarki, których brak nieraz obecnie daje się we znaki. W obronie zaatakowanej instytucyi wystąpił zarząd warszawskiego Towarzystwa felczerów, nadsyłając do *Gazety* list obszerny, na który dr. G. odpowiedział znowu. Nie wdając się w szczegóły tej polemiki, zaznaczymy jedynie, że dążenie do zupełnego skasowania u nas felczerów wydaje nam się przedwczesnem, dopóki w guberniach Cesarstwa niema mowy o zniesieniu tej instytucyi. Zbyt ogólnikowem i niepopartem należycie wydało nam się również twierdzenie, że ilość lekarzy jest już u nas obecnie dostateczną zupełnie. Dane, przytoczone przez p. Ryszarda Sandeckiego w ostatnim zeszycie *Przeglądu Polskiego* („Opieka lekarska nad rzemieślnikami"), zdają się świadczyć przeciwnie. To też usprawiedliwioną mogłaby się okazać obawa, że po skasowaniu felczerów wzrosłaby znowu u nas szkodliwsza niewątpliwie działalność znachorów i znachorek. Tak więc na razie dążenia swe skierować by raczej należało w stronę znacznego powiększenia niedostatecznych stanowczo kwalifikacyj naukowych felczerów, przez podniesienie wymagań, stawianych kandydatom do tego zawodu, jak również w kierunku rozciągnięcia nad działalnością tych pomocników lekarskich, uprawnionych w pewnych tylko wypadkach do kroków samodzielnych, możliwie ścisłej kontroli.

Wzmożony nowemi siłami tygodniowy organ przekształconego na miasto Sosnowca krząta się żwawo około zapewnienia temu stutysięcznemu blizko grodowi i jego okolicy niezbędnych instytucyj i udogodnień. Obecnie zwrócił on przedewszystkiem uwagę na opłakany istotnie stan sądownictwa. Jedyny istniejący tam do ostatniej chwili sąd gminny nie mógł nawet marzyć o podołaniu przechodzącemu jego siły zadaniu, więc też, mimo jego nadludzkich wysiłków, całymi miesiącami czekać treba było na osądzenie najdrobniejszej sprawy. Obecnie w Sosnowcu zaprowadzone być mają sądy pokoju, a *Kuryer* miejscowy domaga się słusznie, aby ustanowiono tam co najmniej czterech sędziów takich, z których każdy będzie miał i tak dosyć roboty. Ważnem również dla mieszkańców byłoby utworzenie przy jednym z sędziów pokoju osobnego dla Sosnowca wydziału hypotecznego i ustanowienie osobnego komisarza sądowego, by nowe miasto fabryczne uniezależnić i pod tym względem od znacznie mniejszego Będzina, w którym w dalszym ciągu mieści się jednak urząd powiatowy.

Święcic.

SPRAWA MIESZKANIOWA.

II.

Dokonaliśmy poprzednim razem inspekcyi mieszkaniowej i podczas wędrówki tej dowiedzieliśmy się ciekawych rzeczy. A więc popierwsze: komorne wzrasta w Europie tak regularnie, iż za kilkaset lat, o ile nic w naszej części świata nie ulegnie zmianie, lokator będzie zmuszony głodzić się, chodzić boso i nago, aby tylko módz zaspokoić żądania gospodarza domu. Powtóre: lokator, jako człowiek spokojny, pogodził się z samowolą monopolu gruntowego. W najgorszym razie, gdy kielich goryczy się przepełni, przeprowadza się do innego domu. Po za tem jednak, aby sprostać swym obowiązkom, stara się zająć jak najmniej terytoryum mieszkalnego, ofiaruje gościnnie swe progi sublokatorom i szambrgarnistom, a nawet dzieli z innymi swój nocleg. Wszystko to się dzieje ku czci i chwale monopolu gruntowego.

Lecz zachodzi kwestya, w jaki sposób ułożenie się tego rodzaju pokojowych stosunków pomiędzy gospodarzem domu, a jego lokatorami odbija się na dobrobycie tych ostatnich? Nieprawdą jest, iż, jak twierdzi Proudhon, gdy troglodyta ma swą jaskinię, Australczyk chatę glinianą, Indyanin własne ognisko, tylko współczesny biedak krajów cywilizowanych wisi w powietrzu. To jest przesadą; tymczasem jeszcze nie doszliśmy do tego, ale nie ulega wątpliwości, iż współczesne stosunki mieszkaniowe stanowią pod względem fizycznym i moralnym, jedną z głównych plag ludzkich. Już w XVIII stul. stwierdził statystyk Sussmilch równoległość między śmiertelnością, a stopniem przepełnienia mieszkania. Nauka współczesna posiada w tej mierze sporo danych. W 1877 r. Anglik Chadwick wykazał, iż śmierć daleko częściej nawiedza domy biedne, niż bogate. W Londynie śmiertelność wynosi w pierwszym wypadku $38^{00}/_{00}$, w drugim tylko $11,3^{0}/_{00}$. Tę samą różnicę odkrył w Wiedniu ekonomista Philippovich. W dzielnicy bogatej umiera 11,6 na tysiąc mieszkańców w okręgu dziesiątym, zajętym przez biedaków, ofiarą śmierci pada aż trzy razy tyle osób. W Lipsku badania wykazały wyraźnie jeszcze zaznaczony wyżej związek. Jeśli w jednym pokoju przeciętnie mieszka 0—1 osób, to śmiertelność wynosi 11,3 na tysiąc; gdy w jednym pokoju mieszka 1—1,5 osób, to podskakuje ona do 18; dalej do 19, 25, 27 i wreszcie gdy jeden pokój daje schronienie przeszło trzem osobom, śmierć zbiera żniwo najobfitsze, gdyż z tysiąca osób przeprowadza do pól Elizejskich 33 lokatorów. Statystycy obliczyli nawet, jak długo żyją przeciętni lokatorzy biednego i bogatego domu. W Budapeszcie podzielono w tym celu mieszkania podług ich przepełnienia na cztery grupy: do pierwszej należą lokale o dwu osobach na pokój, do drugi 3—5 na pokój, do trzeciej 6—10, a czwartej przeszło 10 osób na pokój. Otóż przeciętny lokator pierwszej grupy bytuje na Bożym świecie 47,16 lat, lokator drugiej bawi na padole płaczu 39,51 lat, trzeciej 37,10, a czwartej tylko 32,03 lat. Sens moralny powyższej statystyki ten, iż lokator zamożnego domu mieszka wygodniej, cieszy się większą żywotnością, niż biedny. Ten zaś opłaca swe schronienie względnie drożej od swego bogatego współobywatela. Jakkolwiek mieszkanie szczupłe i liche jest nietylko przyczyną, ale i objawem nędzy, to jednak przytoczone dane statystyczne dość świadczą wymownie o hygienicznym wpływie mieszkania. Śmiertelność niemowląt w rozmaitych dzielnicach miast europejskich uwydatnia również doskonale wpływ zdrowotny stosunków mieszkaniowych.

Niszcząc i zatruwając ciało biedaka, mieszkanie zanieczyszcza również gnębi i osłabia i duszę jego. Niedawno na wystawie darmsztadzkiej estetycy sztuki stosowanej wystawili szereg domków, które miały pokazać, jaki związek zachodzi pomiędzy życiem duszy człowieka a murami, w których mieszka. Mieszkanie jest to sfera, gdzie człowiek odnajduje siebie i przebywa bądź tylko z samym sobą, bądź z osobami mu drogiemi. Tu dopiero zyskuje on odpoczynek dla swej duszy, tu dopiero może ją leczyć, wzmacniać i hodować, tu może on zarazem kształcić i wyrabiać dusze swych dzieci. Ale na to wszystko potrzeba, aby mieszkanie było odgrodzone murem chińskim od świata zewnętrznego, aby pod drzwiami nie podsłuchiwały cudze uszy, aby przez dziurkę od klucza nie zaglądało natrętne oko sąsiada, przez ścianę nie dolatywały ordynarne obelgi i kłótnie, a tuż po za progiem pokoju nie potykano się o kupę ludzi obojętnych, ludzi, z którymi łączy nas wyrachowana wymiana usług, ale nie sympatya i miłość. Nadaremnie szukałbyś tu uroczystej ciszy odosobnienia lub samotności, opiewanych przez Rembrandta i Dürera. W cichym buduarze, dyskretnym saloniku, alejach parku zacisznego, a nawet samotnej izdebce można rozmawiać o tysiącu i jednej rzeczy, o wszystkiem i niczem, można rozmyślać i marzyć, ale śród gwaru układających się do snu noclegników, śród turkotu i hałasu, w swędzie i kurzu, zmęczona dusza ludzka zwija swój kielich, jak kwiat udręczony i oddaje się rozpaczy, klnie i ordynarnieje. Tu, gdzie cynizm jest i musi być na porządku dziennym, gdzie dyskrecya jest wyłączona, gdzie niedelikatny dotyk jest koniecznym, a ciekawość podniecana — nie może być mowy o świętości i odrębności duszy ludzkiej. Nadaremnie chcielibyśmy tu hodować indywidualności lub rzadkie charaktery. Dzieci od najwcześniejszych lat poznają

prozę i brudy życia i przyzwyczajają się do nich, a nocleżnicy i sublokatorzy lub niezliczone mnóstwo osób obcych, uwijających się po schodach i w sąsiedztwie, wnosi rozkładający pierwiastek moralny do ustronia rodziny. Kronika przeludnionych mieszkań roi się od tragedyj, które prowadzą do upadku i zbrodni. Tu, wśród tych mas skupionych i ściśniętych na małej przestrzeni wytwarzają się łatwiej ogniska zepsucia, a każdy zły przykład zaraża prędzej i skuteczniej.

Sprawozdania policyi amerykańskiej rzucają światło na związek zbrodniczości z nędzą mieszkaniową. Tak np. na 10,000 tys. osób przypadało z t. zw. *slums* t. j. przeludnionych kwartałów robotniczych Filadelfii 8 aresztowanych, gdy pozostała część miasta dostarczała 3 aresztowanych. W New Yorku pierwsza grupa wynosiła 18 osób rocznie, druga 6 w Baltimorze 14 i 9, Chicago 11 i 4. Zasługuje na uwagę, iż Filaldelfia, która posiada najlepsze urządzenia mieszkaniowe wykazuje najsłabszy kontyngens aresztowanych. Co może zdziałać poprawa stosunków mieszkaniowych, świadczy przykład Glasgowa. W r. 1867 było tu osób sądownie skazanych 11 tysięcy. Ze zburzeniem i przebudowaniem „slums"-ów, t. j. przeludnionych ubogich dzielnic kontyngens wspomniany spadł do 8 tysięcy. Zaznaczyliśmy również w swoim czasie, iż zdaniem prof. Liszta, mistrza kryminologii współczesnej, gruntowna reforma mieszkaniowa w daleko wyższym stopniu uszlachetni ludzkość, niż wszystkie kodeksy europejskie, razem wzięte. Rosnące zdziczenie i demoralizacyę dziatwy współczesnej przypisuje on również w znacznym stopniu opłakanym warunkom mieszkaniowym.

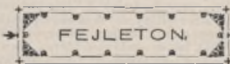
Chodzi tu zresztą o inne jeszcze niepożądane objawy obyczajowości. Pamiętajmy, iż szwaczka, która zajmuje $^1/_{10}$ pokoju i $^1/_{10}$ łóżka, musi na mocy żelaznych praw psychologicznych, powracając z roboty, szukać rozrywki i przygód, kończących się wiadomymi finałami. Pamiętajmy, iż ojciec rodziny, gdy mieszka w otoczeniu sublokatorów i nocleżników, ludzi mu obcych i zmieniających się co miesiąc, a niekiedy co tydzień, nie będzie tęsknił do ogniska domowego, lecz ciążył ku przybytkom alkoholu. Słowem, idea odrodzenia ludzkości bez radykalnego rozwiązania sprawy mieszkaniowej, jest naiwną utopią, a kultura ludzka pozostanie pod względem ekonomicznym, hygienicznym i moralnym parodyą i okrutną komedyą, dopóki każdy człowiek nie będzie mieszkał tak, jak tego wymagają przepisy nauki, techniki i estetyki.

Ażeby zrozumieć, jakie drogi prowadzą w tej mierze do pożądanego celu reformy, musimy dać przedtem rzut oka na przyczyny opisywanej tu przez nas klęski. Jak to zwykle bywa w wypadkach tak elementarnej natury, w zjawiskach społecznych pierwszorzędnego znaczenia, mamy tu do czynienia nie z jednorodnem tłem przyczynowem, lecz z całą kombinacyą okoliczności dziejowych.

Naprzód musimy podkreślić nabrzmienie ludnościowe miast nowoczesnych. Rozwój wielkiego przemysłu i handlu ostatnich kilkudziesięciu lat dokonał między innemi przewrotu w znaczeniu demograficznem, opróżniając wsie i zaludniając p[illegible]brzegi miasta. W 1870 r. mieszczanie stanowili w państwie niemieckiem $^1/_4$ ludności, dziś wynoszą oni połowę społeczeństwa. W Austryi dawały miasta w r. 1843 przytułek zaledwie $^1/_5$ ludności, w 1890 już $^1/_4$. Czwarta część wszystkich Francuzów mieszkała w 1848 r. w miastach, dziś ulokowało się tu $^2/_3$ ludności. Najdalej posunęła się pod tym względem Anglia, gdzie 71% ludności osiadło w miastach. W Stanach Zjednoczonych przed 60 laty $^9/_{10}$ ludności mieszkało na wsi, dziś kontyngens ten spadł do $^2/_3$. Oczywiście, gdybyśmy chcieli przeprowadzić porównanie pomiędzy XIX stuleciem a jego poprzednikami, to wypadnie jeszcze większa różnica. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, iż, niezależnie od zaszłych zmian ekonomiczno-społecznych, ludzkość rozmnożyła się w ubiegłem stuleciu z szybkością nieznaną w dziejach i niezupełnie jeszcze naukowo w swych przyczynach wytłomaczoną. Co prawda, od lat trzydziestu miasta zaczynają ludnościowo rosnąć nietyle wskutek płodności mieszczan, ile ciągłego odpływu ze wsi chłopów i parobków, porzucających rolę dla pracy fabrycznej. W Niemczech np. w okresie 1882—95 r. ludność miejska podwoiła się, gdy obszar rolny stracił 7% ogółu ludności niemieckiej. Miasta stanęły tedy odrazu przed ciężkiem zagadnieniem, w jaki sposób przytulić nieustannie napływającą falę przybyszów. Oczywiście, powinny one były zająć przestrzeń większą od poprzedniej w stosunku do wzrost ludności. A jednak dziwna rzecz, zamiast rozszerzać się odśrodkowo, rosły one w górę, jak to jaskrawo pokazuje przykład Ameryki (mamy tu np. kilkunastopiętrowe domy, t. zw. skrobacze nieba, *sky-scrappers*), albo też przeludniały się one od punktu, na którym pozostawały przez szereg stuleci. Na krańcu miasta wyrastały wprawdzie nowe dzielnice, ale po większej części arystokratyczne, zabudowane willami i pałacami. Ludność zaś niezamożna lub średnio zamożna z jakimś uporem pozostawała za wszelką cenę w murach starego miasta i używała wszelkich scharakteryzowanych przez nas wyżej metod, byle znaleźć dla siebie w starem środowisku przytułek. Z jednej strony wyrastały pełne przepychu przedmieścia w rodzaju Thiergartenu, Villa Borghese, Bois, Hydeparku, Central-Parku. Z drugiej — wypierały biedaka z miasta wielkie bazary, sklepy, składy, a niekiedy fabryki. On jednak, nie zrażając się niczem, gnieździł się cierpliwie pod dachem, przycupnął w suterenie, uszczupłał swoje mieszkanie, odnajmował pokoje, dokupywał łóżka i ofiarował je nocleżnikom, a nawet tułał się po domach noclegowych, zamiast wydostać się z dusznej niezdrowej dla jego ciała i ducha atmosfery, osiąść w pobliżu lasów i jezior i tu, na łonie podmiejskiej przyrody, wraz z rentyerami, bankierami i innymi równie pożytecznymi członkami społeczeństwa, marzyć o ideałach ludzkości, dyonizyjskiem upojeniu, stałym powrocie wszystkiego ziemskiego, filozofii milczenia i wielu, wielu innych pięknych rzeczach.

Jakże wytłomaczyć sobie ten upór biednego mieszczucha? Pomówimy o tem następnym razem.

H. Forszteter.



PAMIĘTNIK.

Cacko z dziurką.

Twory wyobraźni tak samo charakteryzują ludzi, jak płody rozumu. Czy p. Gaillot, prezes jakiejś „Ligi" francuskiej, istotnie chce założyć w Warszawie „Towarzystwo przedsiebiorstw użyteczności publicznej" z kapitałem 20 milionów franków, czy też jest to plotka, nasze oblicze odbija się w tej pogłosce bardzo wiernie. Bo jakiemiż to instytucyami „użyteczności publicznej" ma nas obdarzyć p. Gaillot? Zbuduje: 1) teatr, 2) hipodrom, 3) pałac do zabaw itp. Trzeba przyznać temu dobrodziejowi, że nas doskonale zna i wie, czego nam głównie potrzeba. Dać nam tylko „cacko z dziurką," grzechotkę, bąka, cukierków, a natychmiast przestaniemy płakać, nawet w bólu. W kole zamiarów kapitalisty francuskiego znalazła się także Saska Kępa. Najzupełniej wierzymy w ten jego gust. Wogóle oba brzegi powiśla warszawskiego, które dotychczas służą tylko za pastewniki dla bydła oraz za resursy dla psów, odbywających tam wesela i dla sportsmenów, urządzających gry hazardowne „w pasek" i „guziki" — oba te wybrzeża, prędzej czy później, zostaną nabyte i zamienione na piękne dzielnice miasta. Nie uczynimy tego my, którzy ich wartości nie rozumiemy, ale uczyni to pieniądz zagraniczny, który wszędzie takie miejsca wyzyskał i przyozdobił z wielką dla siebie korzyścią. My tylko odegramy przytem swoją zwykłą rolę: naprzód będziemy klaskali, a potem zaczniemy płakać na „zalew obcych kapitałów" — dopóki nie dostaniemy nowego cacka z dziurką.

Chore bruki.

W drwinach dzienników (np. *Wieku*), opowiadających jak to jeden inżenier układa bruk na ulicach Warszawy, drugi łamie go dla założenia rur gazowych, pierwszy znowu układa, trzeci znowu łamie dla założenia rur wodociągowych lub kanalizacyjnych — w tych drwinach może być dużo przesady, ale jest faktem, że warszawska gospodarka brukowa ma jakieś swoje tajemnice partactwa i nierządu. Niema miasta w Europie, gdzieby tak ciągle naprawiano bruki i gdzieby one tak często się psuły. Nie posiadając dowodów, nie możemy stawiać nikomu określonych zarzutów, ale sam fakt ogólnie uderza w oczy. Ktokolwiek obserwuje ulice bodaj tylko z okien swego mieszkania, ten widzi w nich ustawiczne wyboje i gromady robotników, którzy je naprawiają. Czy to wynika z niedozoru, czy też z celowej fuszerki przedsiebiorców, czyniących oszczędności lub zapewniających sobie stałość zysków w ponownych reparacyach — trudno orzec. Nie należy się też dziwić, że prasa, nieposiadająca możności ścisłego sprawdzenia przyczyny tego stanu a dbała o interes miasta, puszcza się na rozmaite, często fantastyczne domysły. Takie lub inne błędne domniemania obalić łatwo, nie usuwa to przecież faktu marnotrawstwa, który jest zbyt widocznym. Można się mylić w dyagnozie choroby, a nie mylić się w stwierdzeniu jej istnienia. Otóż bruki warszawskie są chore — na co?

Konkurs.

Wielbiciele zasług dr. Dunina na polu szpitalnictwa, lekarze, złożyli 500 rb., które mają służyć jako nagroda konkursowa jego imienia dla młodego medyka. Z warunków, jakimi obciążono przyszłego wybrańca, który dostanie ten imponujący worek złota, powtórzymy dwa: ma on „wyjechać za granicę dla pracowania w wytkniętym przez dr. D. kierunku" i „najdalej w ciągu roku od wyjazdu ogłosić pracę," będącą wynikiem tych studyów. I to wszystko za 500 rb.! Doprawdy, czytając te zastrzeżenia, możnaby pomyśleć, że lekarze nasi nie potrzebują pieniędzy, żywią się „skórką panieńską" i pastylkami, a odziewają się gazą jodoformową. Bez tak skromnych wymagań trudno będzie laureatowi spełnić włożone na niego zadanie. Trudno mu również może będzie „pracować w wytkniętym przez dr. D. kierunku." Bo jakkolwiek dr. D. jest niewątpliwie terapeutą znakomitym, jednakże młody stypendysta może chcieć poprowadzić studya we własnym kierunku.

Wogóle ten konkurs, który zresztą w podstawie ma myśl dobrą, zdradza stałą ułomność prawie wszystkich naszych tego

rodzaju przedsiewzięć: nieproporcyonalność nagrody do postawionych żądań i skrępowanie swobody ubiegających się.

O korektę.

W *Tygodniku Słowa Polskiego*, wychodzącym we Lwowie, p. Jerzy Żuławski pomieścił autoreferat o swej książce p. t. „Benedykt Spinoza, człowiek i dzieło,“ wydanej przez firmę T. Paprockiego w Warszawie, w szeregu wydawnictw *Poradnika dla czytających książki*.

Że autor nie przyznaje swej pracy wielkiej wartości ani jako popularyzacyi, ani jako studyum naukowemu, to możemy położyć na karb skromności autorskiej; ale całkiem poważnie wziąć musimy następującą jego skargę:

„A już do poziomu zera obniża wartość książki nad wyraz niedbałe wydanie. Wydawca nie uznał za stosowne przysyłać mi korekt, a skutek tego jest taki, że dzieło roi się od najgrubszych błędów drukarskich: przekręcają nazwiska, tytuły i terminy filozoficzne, a nieraz i całe zdania, do tego stopnia, że ja sam nie mogę ich zrozumieć bez porównania z rękopisem. Chciałbym, aby to było nauką dla autorów, sprzedających swe rękopisy pomniejszym firmom w Warszawie.“

Niepotrzebnie tylko p. Żuławski ograniczył swój zarzut do pomniejszych firm w Warszawie: często zdarza się to samo i w wydawnictwach firm większych, i w Galicyi — jak to mieliśmy sposobność wykazać, pisząc o dwóch cennych książkach polskich, niedawno wydanych: Gorzyckiego: „Społeczne dzieje Polski“ i J. K. Potockiego: „Współzawodnictwo i współdziałanie.“ Jest to rzeczywiście skandal, że firmy wydawnicze nie mają specyalnych, umiejętnych a odpowiedzialnych korektorów. Od czasu do czasu daje się słyszeć utyskiwanie, że autorowie piszą niewyraźnie; lecz od autorów nie można wymagać, aby brali lekcye kaligrafii, a na maszyny do pisania— choćby chcieli — nie stać ich. Autorowie za granicą z pewnością nie piszą wyraźniej, a proszę szukać błędów drukarskich w wydawnictwach poważnych firm lub w poważnych pismach francuskich lub niemieckich! Jest to u nas poprostu tandeciarska niedbałość i nieuszanowanie myśli, wyrażonej w druku na użytek ogółu.

K. Kr.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Szymon Askenazy: *Wczasy historyczne*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1901.

Książka niniejsza składa się z kilkunastu artykułów, pisanych w różnych czasach i w różnych okolicznościach; są to — jak mówi sam autor w przedmowie — „rzeczy ulotne i przygodne,“ które „powstały raptownie, pod wpływem nastręczonych pobudek zewnętrznych, bardzo rozmaitych.“

Większość przyczynków niniejszych ma za punkt wyjścia jakieś dzieło lub autora: Niemiec czy Francuz, Polak czy Rzymianin dają p. Askenazemu powód do uwag, roztrząsań, charakterystyk, które częstokroć oddalają się znacznie od swego założenia, wkraczając w dziedzinę samodzielnej twórczości. Bo też p. Askenazy rzadko potrafi utrzymać się w roli spokojnego sprawozdawcy lub biernego opowiadacza cudzych myśli. Ze wszystkich znaków pisarskich najmniej go pociąga cudzysłów. Nie z omawianych prac i autorów— historyków, polityków i pamiętnikarzy — lecz z własnej erudycyi, połączonej szczęśliwie z talentem plastycznego odtwarzania ludzi i rzeczy dalekiej lub blizkiej przeszłości, czerpie on materyał do swych szkiców. Jeden przykład wystarczy do zilustrowania metody krytycznej autora „Przymierza polsko-pruskiego.“

Pierwszy np. ze szkiców: „Korespondent Stanisława Augusta“ dotyczy osoby sekretarza ostatniego króla Rzeczypospolitej, Maurycego Glayre'a,“ którego korespondencya została niedawno ogłoszona przez E. Mottaza, a później przełożona na język polski. P. Askenazemu nie wystarcza tu ocenić wartość historyczno-naukową tej publikacyi, odmalować typ takiego obieżyświata polityczno-dyplomatycznego, jakim był Glayre; on uzupełnia samodzielnie obraz chwili politycznej, jaki dają nam listy Stanisława Augusta, Glayre'a i innych, wydane przez Mottaza, mówi za nich, gdy oni milczą i oświetla ich wyrazy w sposób dla ich autorów zapewne bardzo niepożądany, stawia pod pręgierzem to, co na kaźń zasługuje, wykazując nędzę moralną pod kwiatowemi girlandami frazesów. I więcej jeszcze. Kreśli tu np. Askenazy sylwetkę Stanisława Augusta, oczywiście, na podstawie tylko korespondencyi z Glayrem, ale kreśli ją wybornie. Ten *bon garçon*, „dobry chłopiec,“ wieczny dzieciak, aż po siwy włos, aż do śmierci, sentymentalny a niesumienny, subtelny a niemądry, ekspensywny a niewytrzymały, zdolny do słowa i pióra, niezdolny do decyzyi i czynu, łatwy do łez i do pocieszenia, do rozpaczy i do zapomnienia, urodzony pierwszy bohater z komedyi Marivaux albo romansu Laclosa, a najdziwniejszy elekt, ostatni elekt na walącym się tronie Rzeczypospolitej — to świetna sylwetka, którą autor dopełnia jeszcze kilku rysami ciekawymi nad wyraz: o rublach, sypanych szczodrze ze szkatuły Panina tolerancyjnemu królowi w chwili największego rozgrzania umysłów z powodu sprawy dysydenckiej; o niemocy duchowej tegoż króla, któremu nie chciało się jednym palcem ruszyć, o domaganiu się przez niego u obcych rządów pieniędzy na własne potrzeby, o „niezgorszym interesie,“ jaki Stanisław August zrobił na pierwszym podziale itp. A wszystko to są rzeczy niezmiernie ciekawe, nie tyle wszakże o Glayre'ze, ile z powodu Glayrea podane.

P. Askenazy celuje zwłaszcza w takich, jak powyższa, charakterystykach, w których okazuje się nietylko wytrawność i znajomość rzeczy historyka, ale także i talent pierwszorzędny artysty - malarza. Dość wskazać takie wyborne portrety, jak generała Chłapowskiego (z powodu jego pamiętników), Klaudyusza Ferranda, ministra przy Ludwiku XVIII, światowca, bywalca rojalistycznych salonów paryskich, lichego autora i lichego historyka upadku Polski, lub wreszcie pani Lieven, żony ambasadora rosyjskiego w Londynie, której korespondencya z Greyem jest cennym bardzo przyczynkiem do dziejów stosunków dyplomatycznych Rosyi i Anglii w drugiej ćwierci bieżącego stulecia. Wszystkie cechy talentu autora nosi również wizerunek Prospera Mermée'go, dworaka Napoleona III, jednego z ostatnich „pogrobowców ery oświecenia,“ wolteryanina, który rewolucyę 1848 r. nazywał „gorszącą anomalią“ i źródła jej doszukiwał się w „literaturze melodramatycznej, jaką przepojony jest lud prosty;“ tego uczonego współpracownika *Journal des Savants*, który nie wiedział, że miasto, „po rosyjsku nazywające się Lwow,“ jest tem samem, co i „Lemberg w Galicyi.“

W tem subtelnem rozstawianiu barw i światłocienia jest p. Askenazemu pomocą wielka i różnorodna erudycya, której nie chowa pod korzec, lecz chętnie nią się na każdem miejscu popisuje, bez względu, czy zachodzi ku temu istotna potrzeba. Czasem, ni stąd ni zowąd, sypią się jak z rękawa imiona i tytuły. Ma nam np. autor powiedzieć o pamiętnikach Anny z Tyszkiewiczów Aleksandrowej Potockiej; ale przed przystąpieniem do rzeczy musimy wysłuchać o kilkunastu innych pamiętnikarzach, których p. Askenazy charakteryzuje krótko, lecz dobitnie; jest tu i Alfieri, i Walpole, i Goethe, i Pasek, Villehardouin i Froissart, generał Segur i kapitan Coignet, kanclerz Thuan i kanclerz Pasquier, pani Motteville i pani Remusat, kardynał Retz i Rousseau, Saint-Simon i Chateaubriand... Albo kiedyindziej, dla błahego zupełnie powodu, przytacza się całą literaturę demonologiczną: o czarownicach, złych duchach itp.

Widoczną również przyjemność sprawia autorowi, gdy może schwytać którego pamiętnikarza na kłamstwie, którego historyka na fałszu lub opuszczeniu; przyczem powołuje się on na własne prace lub własne studya archiwalne, które postawiły przed nim prawdę dziejową z niezasłoniętem obliczem, bez maski obłudy lub pozorów.

Ale pominąwszy te drobne uchybienia, prace p. Askenazego, tak ostatnie, jak i poprzednie, zajmują w naszej historyografii nowszej miejsce poczesne. Najważniejszą ich zasługą jest zdobycie tego kąta widzenia, który jest jedynie rzetelnym i słusznym: mówimy tu o *metodzie porównawczej*, z której już i dawniej wysnuły się najlepsze karty prac autora „Dwu stuleci.“ Zajęcie tego stanowiska to niewątpliwa zdobycz naszej nauki historycznej, to cały zwrot w poglądach na naszą przeszłość dziejową. Bezwzględny optymizm Lelewela i jego uczniów, ponury pesymizm t. zw. szkoły krakowskiej, który z historyi czyni jeden akt oskarżenia przeciw własnemu narodowi, należą już do przeszłości. Żadnego bowiem narodu nie możemy sądzić, chwalić, ani ganić, w oderwaniu od innych społeczeństw europejskich; w przeciwnym razie wszystkie nasze sądy będą spoczywały na ruchomej podstawie. Tak więc jedynie punkt widzenia „polsko-europejski“ może nas wyprowadzić z labiryntu błędnych założeń i wniosków fałszywych.

„Wczasy historyczne“ nie dają autorowi sposobności olśnić czytelnika świetnością porównań i zestawień. Ale i tu znalazł się powód do wypowiedzenia poglądów autora. Dostarczył go Wł. Spasowicz, któremu p. Askenazy poświęca iskrzącą się dowcipem, subtelnością słowa, myśli i prawdziwą wiedzą sylwetkę. Przed oczami naszemi staje tu historyk, polityk i prawnik. Prawnik przedewszystkiem. Tak, bo Spasowicz jest zawsze i wszędzie prawnikiem, czy pisze o Hamlecie, czy o Puszkinie, „Wallenrodzie,“ czy o pamiętnikarzach XVIII w., o Byronie czy Wielopolskim. I dlatego studya jego, historyczne czy historyczno-literackie, mają zawsze w sobie coś ze swady prokuratorskiej czy obrończej. A że prokurator ani obrońca z urzędu swego nie mogą nigdy powiedzieć całej prawdy, lecz zawsze tylko jej połowę, oświetlając sprawę jednostronnie, więc też i w pismach Spasowicza jednostronność jest zjawiskiem powszechnem.

Z takiego wychodząc założenia, p. Askenazy ocenia zawarty w siedmiu tomach dorobek naukowo literacki tego pisarza. W rozprawie o Hamlecie ośmiesza metodę, wykazującą zbrodniczość postępowania Hamleta z Rozenkranzem i Guldersternem; taka zbrodnia — mówi ironicznie p. Askenazy — jest to „niezawodnie nader ciężki wypadek premedytowanego zabójstwa, skomplikowany przez kradzież i fałsz dokumentu i pociąga za sobą co najmniej tyle a tyle lat robót przymusowych.“ W rzeczy o „Byronizmie Mickiewicza“ p. Spasowicz — zdaniem autora — „sadza Mickie-

wicza na ławie podsądnych i wygłasza wyczerpujące *plaidoyer* na jego korzyść: „czy oskarżony istotnie był winien? czy istotnie działał z występną premedytacyą?“ i wykazuje w samej rzeczy „niewinność swego klienta.“

Ale to są tylko niewłaściwości. P. Askenazy w „Pismach“ Spasowicza znajduje rzeczy gorsze, kłamliwe i płynące z tego samego źródła: tendencyi prokuratorsko-apologetycznej, jednem słowem sądowniczej. Chodzi tu o pogląd na epokę saską, którą p. Askenazy zna wybornie, czego dowiódł w dawniejszych studyach, pogląd w najwyższym stopniu niesłuszny, chociażby ze stanowiska czysto prawnego, bo brak mu „dostatecznych motywów,“ wydany na zasadzie — pamiętników Matuszewicza. I chodzi jeszcze o sąd historyozoficzny o całości dziejów Rzeczypospolitej, który opiera się na niczem niestwierdzonych ogólnikach o średniowieczności ustroju Polski, jego anachronizmie i anomalii, jego wyjątkowości, o konieczności wewnętrznej upadku itp. I tu dopiero p. Askenazy rozwija świetność swojej metody porównawczej. Reforma? „Nie brak wskazówek, że byłaby się dała uskutecznić — tak samo, jak uskuteczniono ją gdzieindziej, w Sztokholmie, Paryżu albo Berlinie — gdyby tutaj w Warszawie nie była została uniemożliwioną.“ Anarchia? „Urządzenia wszystkiej Europy, bez żadnego wyjątku, na schyłku w. XVIII, znajdowały się w takim stanie zupełnej degeneracyi i rozprzężenia, że dłużej trwać nie mogły i upaść musiały.“

Budynek, oparty na takich słupach przegniłych, runąć musi: to też wszystkim wywodom p. Spasowicza i całej wogóle „szkoły krakowskiej“ brak podstawy. A więc upadek Rzeczypospolitej, przedstawiony jako fatalność, spowodowana przez samą Polskę, jako wyrok dziejowy, ściągnięty na siebie przez samych Polaków, dziś już pod względem naukowym należy uznać za zupełnie przestarzały, usunięty po za zdrowsze i wyższe pojęcie prawdy dziejowej.“ Wobec tego wszelkie wyklinanie „czerepów rubasznych,“ tak zawzięcie uprawiane przez Bobrzyńskich i Spasowiczów, musi się rozmijać z wymaganiami dzisiejszej nauki historycznej. „Byliście winni — tak społeczeństwu polskiemu tłomaczy niezbicie nauka dzisiejsza — nie byliście winniejsi od innych. Byliście chorzy— nie byliście chorsi od innych. Nie byliście wybrańcem, lecz nie byliście też nigdy wyrodkiem narodów, jakimś „paleontologicznym“ czy „kopalnym“ potworem, jakimś nienaturalnym, niedojrzałym, niepełnoletnim, szalonym wyjątkiem pośrodku rodziny europejskiej.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej na tym przedmiocie, oczywiście, nie dla omawianego przez Askenazego autora, bo nie o niego nam obecnie chodzi. Chcieliśmy tylko z jednej strony schakteryzować poglądy Askenazego na tę doniosłą sprawę dziejową — a ostatecznie jest to najlepsza cząstka jego dotychczasowego dorobku piśmienniczego pod względem naukowym, z drugiej zaś pragnęliśmy zaznaczyć znamienny zwrot w naszej historyografii, który wyszedł już z epoki kiełkowania i zdążył zdobyć sobie w nauce prawo obywatelstwa. Zasadniczo, teoretycznie, został on już ostatecznie stwierdzony i uznany; w zastosowaniu, w wypełnieniu rozległego zadania, jakie on sam sobie nakreślił, stawia dopiero pierwsze, śmiałe już, ale nieliczne kroki. To, co pozostaje do spełnienia, przedstawia się nietylko oku historyka, ale nawet każdego uświadomionego członka społeczeństwa, jako dziewicza, nieprzebyta puszcza. P. Askenazy w jednym ze swoich szkiców we „Wczasach historycznych“ wyrzeka, iż w dziedzinie naszych dziejów nowożytnych tak mało zrobiono; z małemi zastrzeżeniami można to zastosować do całego obszaru naszej historyi, gdzie zdobycze nauki porównawczej stanowią niewielkie poręby wśród oceanu nietkniętej ręką ludzką zieleni.

Styl Askenazego lekki, gładki i potoczysty, rzecby można, fejletonowy, o co widocznie starał się autor w tych swoich „wczasach,“ z których, jak, sam powiada, pobróbował nie ciężkiej „erudycyjnej armaty,“ lecz „lekkiej impresyjnej flinty.“ Fejletonowość ta polega na lekkim humorze, dowcipie, zręcznych aluzyach, omówieniach i niedopowiedzeniach, w których się szczególniej lubuje i celuje istotnie. To też studya jego mają wartość nietylko naukową, lecz i literacką, czytają się nietylko z pożytkiem, ale i z przyjemnością. Język bogaty, barwny i poprawny. Możnaby tylko zarzucić pewien nadmiar wyrazów obcych oraz kilka stale powtarzających się zboczeń, jak np. „zaś“ na pierwszem miejscu w zdaniu.

Kończą się „Wczasy historyczne“ piękną, pełną uwielbieniu sylwetką pośmiertną Stosława Łaguny, w której tyle serdecznego ciepła i blasków promiennych, ile w szkicu o Spasowiczu ukrytej ironii i niechęci.

H. Galle.

LITERATURA I SZTUKA.

POCHODZENIE RYTMU.

Stanisław Mleczko: *Serce a heksametr*, czyli geneza metryki poetyckiej. Warszawa 1901.

W książce swej p. Stanisław Mleczko usiłował stworzyć prawdziwą filozofię mowy rytmicznej, a raczej rytmu wogóle, który jest według niego zależnym, od podwójnego rytmu oddechu i serca. Jakkolwiek już nie po raz pierwszy badacze próbowali zagadnienia z tej dziedziny przenieść na grunt fizyologiczny, autor niejedną miał jeszcze trudność do zwalczenia. Fizyologowie nieraz pozostawiali odłogiem ten lub ów zakątek swej nauki, więc badacz zmuszony był na własną rękę czynić spostrzeżenia i odkrycia. Ale na obcym sobie polu czuć się musiał nieraz skrępowanym, niejeden też fakt został zanalizowany niedokładnie i oświetlony mylnie. Mamy przykład na „tchnieniu“ czyli pulsie oddechowym. Jest to zwolnienie lub natężenie prądu powietrza wydychanego lub wdychanego, współczesne skurczom serca. Autor przypuszcza, że to jego własne odkrycie i że ma do czynienia z pulsem arteryi płucnej; mianowicie, wraz ze skurczem prawej komory krew przechodzi do tętnicy, rozszerza jej ścianki i wypycha w ten sposób powietrze z płuc. Otóż zjawisko to znane jest fizyologii pod nazwą „ruchu kordyopneumatycznego,“ a zależy od tego, że gdy serce się *rozkurcza*, wypycha przez to powietrze z klatki piersiowej, i odwrotnie, przy jego skurczu wchodzi do płuc dodatkowa ilość powietrza. Zapewne, i w ten i w inny sposób puls oddechowy znajduje w równej mierze wyjaśnienie. Ale kiedy w pierwszym wypadku wraz ze skurczem komór wzmaga się jednocześnie energia prądu wydechowego, to w istotnym przebiegu zjawiska rzecz się ma odwrotnie: *maximum* skurczu przypada na czas najwyższego *osłabienia* tego prądu. Błędu takiego autor nie popełniłby z pewnością, gdyby mniej polegał na ścisłości samospostrzeżeń i nie wyrzekał się pomocy przyrządów. Lecz właśnie dla autora — trudno zrozumieć dlaczego — pierwsza droga jest *o wiele pewniejsza*. Utrzymuje on bowiem, że człowiek, poddany kontroli, ulega zbyt wielu wrażeniom, i zjawisko badane nie odbędzie się w warunkach naturalnych. Lecz kiedy człowiek jest sam dla siebie przedmiotem badania i badaczem zarazem, czyż to niebezpieczeństwo nie potęguje się właśnie? Widząc zaś, że mój puls i oddech będzie mechanicznie zapisany, mogę się o nie zupełnie nie troszczyć.

Głównym punktem teoryi jest „bijące serce.“ Według poglądów autora, przyczyną prawidłowości rytmicznej we wszekiej pracy jest serce, gdyż każdy skurcz „jest dla nas bodźcem, pobudzającym system nerwowy, a wzmagając ciśnienie krwi na ścianki naczyń krwionośnych, bezwarunkowo przyśpieszać musi wymianę materyi.“ Nim przejdziemy do sprawdzenia zasady, warto ocenić jej teoretyczną podwalinę. Najważniejszą, jak mi się zdaje, rzeczą jest tu podniecenie systemu nerwowego, bo wiadomo np., że mózg pulsuje, i że w czasie wydechu (a ten trwa przez cały czas wydawania głosu) mózg bywa przekrwiony. Skądinąd wiemy, iż w szczególnych wypadkach pulsacya, drażniąc nerwy, najwięcej na to narażone, wywołuje rytmiczne skurcze w mięśniach. Tak ma się sprawa np. z pewnym mięśniem powieki (*m. orbicularis palpebrarum*). Podobnie — fakt to zauważony przez autora — niekiedy ustala się współmierność między krokami naszymi i tętnem krwi. Prawdopodobnie zachodzi to tylko wówczas, kiedy tempo kroków zbliżone jest do rytmu serca. Według wyjaśnienia *Landois*, każda pulsacya wywołuje w mięśniach nogi pobudkę do skurczu (drażniąc nerwy), aż wreszcie następuje zupełna akomodacya ruchu istotnego i pobudki. Być może zatem, iż w podobny sposób fala pulsu stwarza za każdym razem dogodniejsze warunki do akomodacyi mięśni oddechowych i narzędzi mownych. Jeżeli jednak pragniemy upatrywać w podniecaniu systemu nerwowego zarazem i rytmiczność pracy *psychicznej*, jak chce autor, pamiętać należy, iż „żaden określony związek zjawisk psychicznych z rytmem oddechu i pulsu dotąd nie dał się naukowo stwierdzić.“ Co do rytmicznego przyśpieszenia wymiany energii, dość uczynić uwagę, że wymiana ta odbywa się w naczyniach włoskowatych, w których prąd krwi jest *jednostajny*. Tętna tam niema.

Jeżeli zechcemy teraz sprawdzić na podstawie faktów bezpośrednich słuszność teoryi, że wznoszenie się opadanie fali rytmicznej w wierszu odtwarza ściśle fizyologiczne zjawiska fali pulsowej, spotykamy trudności, które nam każą obracać się w błędnem kole. Naprzód trzeba uwierzyć w to, że owe wzniesienia się to właśnie t. zw. *arsy* tj. szereg *wzmocnień* głosu, połączonych *z przedłużaniem* dźwięku, pozostającego pod przyciskiem. Teorya ta zastosowana jest przedewszystkiem do heksametru greckiego, a oczywiście nie możemy podsłuchać, jak recytowali wiersze Homera aojdowie. Jeżeli zaś mamy wierzyć np. M. Kawczyńskiem (*Essai comparatif* i „Porównacze badania..“ Pam. Akad, Um. VI), Grecy wcale nie znali *iktu*, podniesienia głosu w mocnej części taktu (na zgłosce długiej), gdyż w ogóle przycisk wydechowy był dla nich zjawiskiem obcem, posiali tylko akcent chromatyczny (wyśpiewanie, zmiana *tonu*). Bądź co bądź nie możemy przystąpić *dziś* do heksametru bez *żadnej teoryi* i dopiero ze spostrzeżeń, z naturalnych, od spekulacyi niezależnych faktów, wysnuć odpowiednie wnioski. Jeżeli zaś *wpierw* uwierzymy nowej teoryi, że arsa pulsu (skurcz komór) ma być synchroniczna arsie wiersza, to czyż możemy wówczas polegać na argumencie, że „jest to prędkość najodpowiedniejsza dla naszych narzędzi mownych i ucho pieści naj-

milej?“ A jednak autor tak czyni. Deklamuje z palcem na pulsie, stosując się do tego ostaniego, i stąd wnioskuje, że „absolutna tożsamość tempa rytmicznego nie może chyba być dziełem przypadku“ Pewno, iż nie, bo aktem woli świadomej. Jak widzimy, teoretyczna osnowa systemu p. Mleczki pozostawia niemało wątpliwości, a empiryczna jej podstawa całkiem nikła.

Dość luźnie z podstawową myślą teoryi związany jest pogląd na oddech, jako czynnik, regulujący rytm poetycki. Autor wychodzi ze stanowiska, że wiersz winien się mieścić w obrębie jednego oddechu, że najwłaściwszym oddechem przy pracy jest ten, który zawiera w sobie sześć okresów sercowych, więc i sześć „tchnień“; heksametr grecki zatem, zawierający sześć stóp, z których każda ma fizyologiczną podstawę w jednorazowym skurczu serca, jest najprostszą i najnaturalniejszą formą rytmu. Umożliwiała ona rapsodom wygłaszanie długiego szeregu heksametrow bez widocznego wysiłku. Cała ta teorya opiera się na szeregu nieuzasadnionych przypuszczeń i mylnem nieraz oświetleniu faktów. Naprzód, równomierność oddechu i wiersza jest rzeczą wątpliwa; wetchnięcie powietrza nie odbywa się podczas pauzy, lecz po pauzie, wraz z przystosowaniem przyrządów mownych do wygłoszenia pierwszej po przestanku zgłoski; korzystamy więc bezwiednie z każdej pauzy, narzuconej nam koniecznością interpretacyi poetyckiej niezależnie od przedmiotowej osnowy wiersza. A chociaż autor utrzymuje, że wiersz Hellenów był w wyższym stopniu od naszego uprzedmiotowiony, to sam wyznaje gdzieindziej, że o idealnej zgodzie między kształtem wiersza a interpretacyą (czyli rozkładem myśli itp.) mowy być nie może nawet u Greków. Co zaś do sprawdzenia na drodze doświadczalnej, czy wymiar heksametru daktylicznego jest istotnie zastosowany do objętości przedłużonego, roboczego oddechu — próby takie mogą być uważane, jak zaznaczyliśmy, tylko za samoułudę.

Zresztą, gdybyśmy ustąpili na wszystkich punktach, to i tak rola oddechu pozostaje niewyraźną, autor bowiem sam mówi o wierszu np. pięciotchnieniowym (tetrametr trocheiczny), trzytchnieniowym (trymetry Sofoklesa) itp. Tak tedy oddech jest to czynnik, który się stosuje do kształtu wiersza, nie odwrotnie.

Schodząc na pole fizyologii, tem większą musimy zachować ostrożność względem twierdzeń autora. Czy „roboczy“ oddech jest istotnie sześciotchnieniowy? Autor dowodów nie podał. A choćby to prawdą było, nie można bez zastrzeżeń stosować praw swobodnego oddechu, kiedy okresy wydychania i wdychania są sobie prawie równe, do prądu wyłącznie niemal wydechowego, przy którym wetchnięcie stanowi drobny zaledwie ułamek. Nie ma zaś autor słuszności, kiedy mówi, że wogóle wydech jest *o wiele powolniejszy* od wetchnięcia, i że taki stosunek istnieje przy *wszelkiej* pracy. Zwykle stosunek wspomnianych dwu okresów u dorosłego mężczyzny jest 6:7, a przy pracy wetchnięcie najpewniej kojarzy się z jednym ruchem, wydech — z drugim, np. przy wznoszeniu i opuszczaniu cepa.

Dla cezury heksametru autor znajduje fizyologiczną podstawę w tej okoliczności, że pierwsza część wydechu odbywa się przy pośrednictwie mięśni międzyżebrowych, druga zaś z udziałem przepony i tłoczni brzusznej. Choćby nawet tak być miało, nie wyjaśnia to przestanku wierszowego, gdyż ruchy oddechowe nie ulegają zawieszeniu, więc i pauzy spodziewać się nie mamy prawa. Ale tak nie jest. Wzmianka o tłoczni brzusznej jest owocem nieporozumienia, gdyż działanie jej jest sporadyczne, i ma ona swe osobne fizyologiczne przeznaczenie. Następnie, mięśnie międzyżebrowe i przepona brzuszna działają współcześnie, nie kolejno, i działają głównie przy *wdychaniu*. Wydech zaś odbywa się przez opadanie klatki piersiowej i rozkurcz mięśni i powrót ich do zwykłego stanu. A wreszcie unieruchomienie przestanku w połowie oddechu o określonej długości nie wytłomaczyłoby nam zgoła średniówek, cezur i dyerez w nieskończonej niemal rozmaitości wierszy odmiennego typu. Trzebaby było chyba utworzyć hypotezę, że właśnie tyle nabieramy tchu i tak regulujemy nasze ruchy wydechowe, by przepona brzuszna rozpoczynała swe działanie mianowicie w tej chwili, którejby wymagał ten lub ów schemat. Być może, przyrodniczego odpowiednika dla średniówki szukać by należało ze strony psychicznej w potrzebie uporządkowania wyobrażeń, wierszem objętych, ze strony fizyologicznej — w konieczności wypoczynku mięśni jamy ustnej, zmuszonych do wykonywania całego szeregu subtelnych ruchów.

Wiemy już, że stopa heksametru ma być współmierna z okresem sercowym, i że arsa stopy (zgłoska długa z naciskiem wymawiana) kojarzy się z arsą serca, tj. skurczem komór sercowych. Nadto autor usiłuje wewnętrzną analizę stopy przenieść na grunt fizyologii i każdą zgłoskę uważa za odbicie poszczególnych faz zjawiska fizyologicznego. Niekiedy nawet w zgłosce pojedynczej wyróżnia odrębne części. Cały okres sercowy ($^4/_5$ sek. przy 75 pulsu na minutę) rozpada się u niego na sześć równych cząstek, które zowie „chwilami.“ Dwie chwile pochłania skurcz przedsionków, trzy — skurcz komór, i wreszcie podczas ostatniej „chwili“ trwa pauza — stan rozkurczu całego serca. Jest to, oczywiście, tylko schematyczne przedstawienie zjawiska, o czem autor, zdaje się, zapomina. Oznaczmy kolejno „chwile“ (rozpoczynając okres od skurczu komór) w ten sposób: S_1 S_2 S_3 P_4 S_5 S_6. $S_1S_2S_3$ — skurcz komór; P_4—pauza, S_5S_6—skurcz przedsionków. Autor chwile te wyodrębnia, jak niezależne całostki, kojarzy je według upodobania lub rozdziela, a okresy rozpoczyna od dowolnie obranej chwili. W ten sposób powstają coraz to inne schematy stóp metrycznych:

1) $S_1S_2S_3+P_4+S_5S_6$ —́ ⏑ ⏑ daktyl,

2) $S_1S_2S_3+P_4S_5S_6$ —́ — spondej daktyliczny;

3) $S_1+S_2S_3+P_4+S_5S_6$ ⏑ —́ ⏑ —́ dyjamb daktyliczny;

4) $S_2S_3+P_4+S_5S_6+S_1$ —́ ⏑ —́ ⏑ dytrochej spondeiczny;

5) $P_4+S_5S_6+S_1+S_2S_3$ ⏑ —́ ⏑ —́ dyamb anapestyczny;

6) $S_5S_6+S_1+S_2S_3P_4$ ⏑ ⏑ —́ anapest;

7) $S_6+S_1+S_2S_3+P_4S_5$ ⏑ ⏑ —́ — jonik mniejszy itd.

Takie dokładne zespolenie się stopy i okresu sercowego pierwszą spotyka przeszkodę w niezbędnych pauzach. Dla cezury lub dyerezy chyba z góry należy przeznaczyć całkowite „tchnienie,“ jak to autor uczynił dla tetrometru trocheicznego, bo inaczej odpowiednia chwila zgubiona i takt splątany. Pomijamy zresztą sztuczność tych wszystkich formuł, będących wyrazem nie faktów sprawdzonych lub możliwych do sprawdzenia, lecz wprost spekulacyjnych wniosków autora, ale jeśli zechcemy bliżej wejrzeć w szczegóły, okaże się, że misterne owe kombinacye znaków zawierają w sobie sporo sprzeczności. Powyżej przedstawione stopy rozpadają się na dwa szeregi: w jednym z nich, złożonym ze stóp 1-ej, 2-ej i 6-ej, długa zgłoska jest trzychwilową, w drugim — już tylko dwuchwilową. Oznacza to poprostu dykcyę pośpieszniejszą. Dlaczego w jambach lub trochejach mamy wygłaszać zgłoski szybciej, niżeli w daktylach lub anapestach? Autor ucieka się tu do dwu przypuszczeń. Pierwsze — że w dyalogu uwydatnia się rytm jambiczny. Skąd konieczność takiego rytmu? Tego pytania autor nawet nie dotyka. Gdzie sprawdzian empiryczny? Oto rozmawiających przedrzeźniają: tatatata (dyjamb ⏑ —́ ⏑ —) lub giergiergiergier... Jeżeli pojęcia dyalogu i jambu są współmierne, stąd już wniosek oczywisty, że i tok jambu jest żwawszy od opowiadającego, daktylicznego. O ile żwawszy? Więc znowu hypoteza. „Łatwo się możemy przekonać (a to znów jak?), że jeśli w heksametrze epicznym *mora* wynosi $^1/_4$ peryodu sercowego, to w trymetrze (jambicznym) tylko $^1/_6$ tegoż peryodu.“ Mora jest to czas potrzebny na wymówienie krótkiej zgłoski; długa tedy posiada wartość dwu mor. W daktylu zatem — ⏑ ⏑ mamy 4 mory, w dyambie zaś (⏑ — ⏑ —) już sześć. Jeżeli daktyle wygłaszamy w obrębie jednego okresu sercowego, tj. sześciu chwil, to na dyjamb przypadłoby $1^1/_2$ okresu czyli 9 chwil. Okres sercowy i dyjamb nie pokrywają się wzajemnie. Jamb pojedynczy również temu warunkowi zadość nie czyni. Możemy jednak rachunek wyrównać, jeżeli uznamy w tym wypadku morę półtora raza krótszą, i znów stopa przypada na okres sercowy. Lecz ileż podpórek wymaga ta teorya, a podpórki są wątłe nad wyraz!.. Dorzućmy do tego, że tradycya nic nam nie mówi o krótkiej „morze,“ po drugie, że dyalog Sofoklesa był chyba uroczystą deklamacyą, nie nerwową, urywaną rozmową teatru współczesnego.

(D. n.).

A. Drogoszewski.

LITERATURA NIEMIECKA.

Nietzscheanea.

Można dzieła Nietzschego stawiać pod pręgierz, można je także zamieszczać w sanktuaryach — jedno przyznać mu trzeba: poruszył z posad bryłę, obetkaną pojęciami o kulturze. Czy ta ewolucya, wywołana ideami nietzscheańskiemi, zmierza w kierunku, którybyśmy dodatnim nazwać mogli, czy przeciwnie — mniejsza w tej chwili. To rzecz przyszłości. Wówczas dopiero stwierdzić będzie można, czy z „chaosu“ nietzscheańskiego wyłoni się „gwiazda tańcząca,“ czy też działalność jego sprowadzi chaotyczniejsze jeszcze pogmatwanie pojęć.

Obecnie dają się stwierdzić jeno skutki przyjęcia, jakiego doznały nietzscheańskie myśli. Historya jego nie jest wcale inną, jak dzieje każdej nowej, w bieg kultury wszczepionej idei. A więc: najpierw dwie krańcowości. Entuzyaści i śmiertelni wrogowie. Ci, co w Zarathustrze dopatrywali się nowej ewangelii, objawienia, i ci, którzy go odpędzali syczącem „a kysz,“ niby ducha nieczystego.

Jedni, podążywszy instynktownie za mistrzem, poznali go i — opuścili, aby własną dalej kroczyć drogą. Takim był np. Ryszard Dehmel.

Drudzy, mniej silni, nie zdołali wyemancypować się z pod potężnego wpływu Zarathustry - Nietzschego, rozpłynęli się w nim, jako rzeka w morzu. Inni wreszcie, zbliżywszy się do idei nietzscheańskich, odsądzili je od wszystkiego, jako mrzonki, wypryski chorego mózgu; sny o potędze.

Walki przeciw Nietzschemu nie można uważać za czynnik kulturalnie ujemny. Przeciwnie: jedynie na tle starcia dwu pojęć krystalizuje się rzecz sama. Przykrem było w tym wypadku jedynie to, że walczono z Nietzschem, gdy on sam był spętany więzami niemocy fizycznej i psychicznej, a więc pozbawiony możności obrony. I tu też przejawia się charakterystyczny moment co do sposobu prowadzenia sporów

literackich i artystycznych. Przedtem staczano bój o sprawę, teraz, kiedy wiedziano, że wróg osobiście reagować nie może, wciągnięto jego osobowość w środowisko walki, znęcano się nad nim.

Powoli jednak obie krańcowości ustaliły się. Nie było już więcej falowań między wyznawcami a przeciwnikami; wszyscy, co się zaciągnęli pod sztandar *za*, i ci, którzy grupowali się około znaku *przeciw*, wiedzieli, na jakich podstawach opierają swe stanowisko, czego chcą. Nie działał tu już instynkt, ale uświadomienie. A wraz z niem nadszedł czas obrachunku. Kultura ma i musi mieć takich skrzętnych gospodarzy, co w bilans wpisują pozycye za pozycyą. Czas pod ten bilans podpisuje ostateczny wynik, sumę. Współcześni muszą jednak wraz z biegiem wypadków notować pojedyncze pozycye.

Taki bilans mam właśnie przed sobą *). Książka pożyteczna, trzeźwo napisana i wcale grntowna. Ale tylko w części. Tylko tam, gdzie autor zestawia i przeciwstawia postać i dzieła Nietzschego literaturze. Gdzie przechodzi na pole kultury, chybia celu. Wszelkie jego sądy o wpływie Nietzschego na ukształtowanie się kulturalne narodu niemieckiego nie zasługują na miano poważnych i są tylko odbiciem dziennikarskich, do przesytu wygłaszanych frazesów. Bo to np., że Nietzsche był tylko artystą, a nie filozofem, może służyć bardzo efektownie za paradoks fejletonistyczny, ale nie wchodzi w rachubę, gdy się przyglądamy poważnie zagadnieniu nietzscheańskiemu. Albo np. że Nietzsche dlatego nie jest „prorokiem," że mu brakło syntetycznej siły, której mocą można spoglądać na całokształt życia z wysokości olimpijskiej i pojęciowo je usystematyzować. To są frazesy i do tego frazesy znane. Z tej części książki, która ma scharakteryzować kulturalną misyę Nietzschego, nic nowego dowiedzieć się nie można. Ciekawy jest tylko fakt odwagi cywilnej autora. Miał bowiem śmiałość wypowiedzenia swym rodakom otwarcie, iż nie wierzy wcale w ich osławiony i tak buńczucznie wszędy na pokaz obnoszony „poziom kulturalny." Wychodzi przytem z założenia nietzscheańskiego o potędze. Mają wprawdzie Niemcy tę nietzscheańską „Wille zur Macht" (Pożądanie potęgi), ale nie mają jej w tem znaczeniu, które słowom swym nadał sam Nietzsche. Ten bowiem tak ją określił:

— Co jest dobrem? — Wszystko, co u człowieka wzmaga uczucie potęgi, chęć osiągnięcia jej.

— Co jest złem? — Wszystko, co ze słabości się wywodzi.

— A co jest szczęściem? — Uczucie, że się potęga wzmaga, że przezwyciężono przeciwności.

Oto słowa Nietzschego o potędze. Niemcy widzą ją gdzieindziej. Kiedy wznawiano imperyum niemieckie, spodziewano się gwałtownego wzmożenia się rasowych pierwiastków. Olbrzymie ramy domagają się również obfitego wnętrza, treści. Niemcy ujrzeli się nagle postawionymi na piedestale realnej godności,która zamiast tchnąć w nich pożądanie potęgi istotnej — ową nietzscheańską „Wille zur Macht" — przepoiła ich wrogą wszelkim kulturalnym usiłowaniom zarozumiałością, oszołomiła małostkową dumą. Zamiast kultury rozpoczęło się pół-wykształcenie kupczyków i komiwojażerów, pogardzających z całej duszy wszelkim objawem wyższym. Duch militaryzmu i widmo biurokracyi rozszerzały się coraz bardziej, tłumiąc każdy poryw indywidualny.

Takie jest tło, które autor omawianej książki podmalował, by na niem tem jaskrawiej odbijała się indywidualność Nietzschego.

Lecz, jak to już zaznaczyłem, istoty omawianego dzieła nie stanowi ocena kulturalnego stanowiska Nietzschego. Zasługą jest autora, że potrafił zebrać wszystko, co w literaturze niemieckiej powstało na tle idei nietzscheańskich, co było skutkiem dzieł Nietzschego. Sam twórca „Zarathustry" odgrywa tu rolę przyczyny, całego szeregu publikacyj, któreby z pewnością światła dziennego nie ujrzały, gdyby on ich swą istnością do życia nie powołał. W miarę bowiem, jak się wzmagało tworzywo Nietzschego, rósł też zastęp ludzi, którzy za cel sobie obrali jego zwalczanie, lub też za ideał, jego naśladownictwo. Cokolwiek się o Nietzschem sądzi, to przyznać mu trzeba, iż daleko sięgał wpływ jego podniecający, niemal wychowawczy, na młode pokolenie. Oddziaływał na młodzież, wątpiących przepajał nadzieją, a wyzwalał tych, którzy nie mogli się zdobyć na rozkucie więzów, któremi spętana była ich indywidualność.

Tak więc z jednej, jak i z drugiej strony, stał się Nietzsche środowiskiem, z którego wypromieniowały dwa długie szeregi dzieł i twórców.

Jeszcze w r. 1893 ogłosił Wilhelm Jordan aż przykry bezwzględnością wiersz przeciw Nietzschemu.

Adolf Wilbrand uczynił Nietzschego bohaterem swej powieści „Die Osterinsel." Filozof Adler — tak się w powieści nazywa autor „Narodzin tragedyi" — zstępuje między ludzkość, by w niej krzewić ideę o teokracyi człowieka. Oczywiście misya mu się nie udaje. Postępowanie jego nosi cechy chorobliwości.

W formę powieściową ubrali również swe krucyaty przeciw Nietzschemu Paweł Heyse i Fryderyk Spielhagen. Pierwszy napisał romans „Über allen Gipfeln," drugi — „Faustulusa," nadczłowieka, któremu nie wystarcza już ideał Goethego, lecz który w duszy ma w równej części — i tu tkwić miała ostrze ironii — rozmieszczone dobro i zło, tak iż zawsze może się przedstawić w dwoistym charakterze. Zależy tylko od tego, z której strony nań się spogląda.

Dramat przeciw nadczłowieczeństwu stworzył Widmann. Tytuł: „Jenseits von Gut und Böse" (Odwrotna strona dobrego i złego). Bohater, zdeklarowany nadczłowiek w teoryi, napotyka trudności nieprzezwyciężone w praktycznem zastosowaniu swych przekonań; zwątpiwszy wreszcie o możliwości realizacyi swych marzeń, rzuca się, jak syn marnotrawny, na łono... „starej cnoty," by tu, jako filozofię życia, zaczerpnąć wytarty ogólnik: „Istnieje tylko jedno bohaterstwo: to, które się zasadza na poczciwości serca..."

Publicystyka przeciw - nietzscheańska rozsiadła się głównie w dwóch pismach: *Die Grenzboten* i *Deutsche Rundschau*. Stąd biły gromy tak silne, jak gdyby od starcia w pył wszystkiego, co tylko przypominało Nietzschego, miało zależeć istnienie świata.

W tym samym czasie po za granicami Niemiec odkrywano nową gwiazdę: Nietzschego. Najbardziej wpływowi krytycy Danii, Francyi, Skandynawii: Brandes, Ola Hansson i inni — głosili z entuzyazmem wschód Zarathustry. To też słusznie i bez przesady mógł Nietzsche napisać bezpośrednio przed katastrofą, pozbawiającą go swobody umysłu: „Mam czytelników wszędzie, w Wiedniu, w Peterburgu, Kopenhadze i Stockholmie, w Paryżu i Nowym-Jorku — nie mam ich tylko w Niemczech..."

O ile z jednej strony ciągnie się długi zastęp jednostek, dla których Nietzsche był przyczyną działania, jako pobudka wywołująca z ich strony zaprzeczenie głoszonych przezeń idei, a tem silniejsze podnoszenie dawnego porządku rzeczy, „starej etyki" — o tyle z drugiej strony wystrzelił w literaturze niemieckiej szeroki i gęsty łan, obsiany wprost nasieniem, tkwiącem w treści i formie idei nietzscheańskich. Zastęp młodych, samopas się błąkających poetów odczuwał rozdźwięk między swemi marzeniami a wymaganiami, jakie stawiała poezya salonowa i familijna, rozwielmożniona do przesady w mieszczańskim światku. Wtem zabłysł Nietzsche. Młodzi poeci, oszołomieni jaskrawością i paradoksalnością jego idei, przylgnęli do nich na ślepo. Już wiedza przyrodnicza, już pozytywizm dał im poczucie przynależności do olbrzymiego kręgu istot, bytujących we wszechświecie. A oto zjawia się nauka, opiewająca jako ideał siłę woli, opowiadająca cuda o człowieku, który porzucił małostkową sferę szarzyzny i przeciętności, a uleciał na wyżyny, na których wartości ulegają gruntownej przemianie. Nastrój owej chwili wyraził najdosadniej Juliusz Hart w powieści, zatytułowanej „Tęsknota": „Nie pogardzamy—pisze on — życiem i ziemią. Wiemy, że na tej ziemi rodzą się dla nas tylko cierpienia i że kroczyć tu musimy doliną łez. Musimy grzęznąć w cierpieniu, odczuć krocie tych bólów, które sami zadajemy własnemu jestestwu. Lecz mimo wszystko być szczęśliwym, zupełnie szczęśliwym, rozkoszować się i spijać kielich szczęścia, umierać z uśmiechem na twarzy, pędzić życie w bezmiernej swobodzie — tak wyobrażam sobie nowe to pokolenie, tych ludzi i przewódców, uzewnętrzniających nowe myśli i uczucia.

Pierwszy poddał się temu przemożnemu wpływowi Zarathustry poeta Hermann Conradi; nie wyzwolił się on z pod wpływu Nietzschego, stał wiecznie pod nim. Nad niego wyrósł Ryszard Dehmel. Z chaosu, w jaki się dostał, poznawszy teoryę nietzscheańską o nadczłowieku, przedarł się wielkim wysiłkiem woli i dobił do celu: zdołał wyrobić sobie własne pojęcie o przymiotach, poruszonych przez Nietzschego, i pojęciom tym dać wyraz uniezależniony od formy nietzscheańskiej. Teza o wpływie płci na rozwój duchowy człowieka jest zasadniczym motywem poezyi Dehmla. Tylko o ile Nietzsche doszedł do pogardy kobiety, o tyle jest ona u Dehmla szkodliwym punktem wszelkiej twórczości. Ze stopu ideału pogańskiego i chrześciańskiego ma się wyłonić typ nowej kobiety, będącej zarazem wcieleniem zmysłowości i uduchowienia.

Inaczej zupełnie działał Nietzsche na Alfreda Momberta. Dehmel drogą ziemską zatoczył szerokie kolisko ewolucyi człowieka w nadczłowieczeństwo. Mombert drodze tej nadaje bieg kosmiczny. Nietzsche cofnął się w niebotyczne góry, na wirchy, by tam wyśnić postać Zarsthustry, przepoić nią swą istotę i, tak się odrodziwszy, wrócić do pracy apostolskiej. Mombert cofa się również, ale w czasy zamierzchłe, legendowe, w chwile genesis z ducha, powstania bytu ziemskiego. Tu łączy się w bezpośrednim stosunku z wielkimi symbolami ducha świata, ziemi, morza i słońca. Jednocześnie Jan Schlaf radosnym hymnem powitał Nietzschego, W poemacie zatytułowanym „Tworzenie," a opiewającym istotę prawdziwej twórczości, w prostych wyrazach określa wpływ idei nietzscheańskich na swą duszę.

A w tej samej chwili, kiedy rzeszę młodych poetów rozpierała tęsknica za potęgą i nadczłowieczą mocą, siedział Nietzsche w cichej izdebce wejmarskiego pałacyku, bezsilny, bezwładny, z oczyma zamglonemi, wpatrzonemi gdzieś... w bezkresy.

A może wtedy właśnie duch jego przeżywał chwile mocy nadczłowieczej, o której za czasów pełni zdrowia fizycznego i umysłowego śnił tylko?..

Bertold Merwin.

*) Dr. Hans Landsberg: *Friedrich Nietzsche und die deutsche Literatur* („Fr. Nietzsche i literatura niemiecka"). Lipsk, 1902.

POEZYE

NĘDZARZ.

—◆—

Błądząc przez pozostałe po Wielkich pokłosie,
Skrzętnie zbieram zgubione ziarna w me spichlerze....
Najcelniejsze zabrano.... Więc głodom w ofierze
Płonę na zażeganym co dnia tęsknot stosie.

Ale może mi kiedyś w jutrzejszej godzinie
Dojść będzie pozwolone do działki niezżętej...
Wówczas wzejdzie i dla mnie dzień obfity w sprzęty!
Czujnym będę, — i żadne ziarno mi nie zginie.

A gdy żniwo ukończę—zwycięztwem bogaty—
Zwołam rzesze przed dom mój i oddam im plony,
Patrząc, jak będzie chwytać ziarna tłum zgłodzony
przed umajonych kwieciem odrzwi mojej chaty.

I wreszcie sam zostanę z skrzynią wypróżnioną,
Bo do ostatnich kruszyn tłum plon mój rozchwyta,
Lecz czym ja sam nie głodny, nikt mnie nie zapyta, —
I nowych oczekiwań smutki mnie owioną....

Ale tem ci jest lepiej, im więcej cierpienia,
Bo łacniej duch się ostrzy na walkę zwycięzką,
I co na szczęsnych runie zatracenia klęską,
To się hartownym w zorzę glory wypromienia.

Stefan Wodziński.

SPRAWY EKONOMICZNE

Pruska komisya kolonizacyjna.

—◆—

II.

Zobaczmy teraz, jak wygląda działalność komisyi w świetle cyfr, przez nią samą podawanych w sprawozdaniach rocznych.

A) większych majątków ziemskich:

w r.	majątków	obszaru w hekt.	za cenę marek	cena przec. za hek.
1886	16	11,748,59	6,674,150	568
1887	27	14,825,77	8,719,651	588
1888	19	9,523,55	5,620,505	590
1889	8	4,800,63	3,268,250	681
1890	12	7,767,09	5,095,510	656
1891	19	8,527,02	5,789,617	679
1892	8	8,421,60	4,621,803	549
1893	13	8,408,18	5,265,600	526
1894	8	6,264,18	3,590,850	673
1895	11	7,525,10	4,289,140	571
1896	7	3,510,84	2,282,610	648
1897	12	4,722,79	3,697,830	769
1898	24	14,491,13	11,017,300	760
1899	28	18,131,83	14,828,000	818
1900	29	16,148,83	13,059,468	809
1901	27	16,856,69	13,503,077	801
Ogółem	268	161,690,72	111,323,661	688

B) Gospodarstw włościańskich:

w r.	gospodarstw	obszaru w hekt.	za cenę marek	cena przec. za hek.
1886	3	110,84	88,845	802
1887	13	575,42	352,080	612
1888	10	602,17	429,200	713
1889	4	38,17	25,060	657
1890	2	7,76	9,110	1174
1891	—	—	—	—
1892	1	0,62	450	731
1893	1	16,43	5,765	351
1894	—	—	—	—
1895	1	41,29	31,000	750
1896	—	—	—	—
1897	7	106,04	106,100	1000
1898	9	337,63	460,800	1365
1899	7	375,91	431,200	1149
1900	10	427,45	426,964	999
1901	8	163,12	224,750	1377
Ogółem	76	2,802,85	2,591,324	924.

Razem zatem komisya kolonizacyjna kupiła 164,494 hektarów za 113,914,985 marek. Z rąk polskich kupiono 87,736 hektarów, tj. 53,4% całego obszaru, za 62,665,530 m., tj. 55,2% sumy ogólnej; z rąk niemieckich 76,758 hektarów, tj. 46,6% obszaru za 51,249,455 marek, tj. 44,8% sumy ogólnej.

Przeciętna cena, jaką płaciła komisya za majątki ziemskie, wynosi 688 marek za hektar; ziemia włościańska kosztowała po 924 m. za hekt. Są to ceny zdumiewająco wysokie. To też w sprawozdaniu powiedziało, że cena, jaką zapłacono, wynosi w majątkach większych siedmiokrotną kwotę intraty według szacunku podatkowego (Grundsteuerreinertrag). Jest to więc cena bezwarunkowo anormalnie wysoka, zwłaszcza jeżeli zważymy, że majątki po większej części są zapuszczone i licho zagospodarowane. Odbywa się tedy faktyczne roztrwanianie grosza publicznego na wielką skalę, i jeżeli się mówi o *polnische Wirtschaft*, to wkrótce trzeba będzie ukuć wyraz „gospodarka pruska“ dla scharakteryzowania gospodarki utracyuszowskiej. Takie atoli podwyższanie cen, pomijając już to, co tkwi w fakcie, że trwoni się grosz publiczny dla wywłaszczenia narodowości, która przecież przyczynia się podatkami do funduszów państwowych. Wiadomo bowiem, że podwyższanie cen ziemi staje się bezpośrednią przyczyną złowrogich przesileń w rolnictwie, podkopuje dobrobyt kraju, wprowadza zamęt do produkcyi; z chwilą bowiem, kiedy ustaje pobudka, która wywołała takie podwyższenie cen, zostaje zachwianą sama wytwórczość rolnicza.

Co się tyczy posiadłości włościańskich, to komisya nabywa je tylko w celu zaokrąglenia swych posiadłości, i wobec tego oczywiście płacić musi tutaj ceny jeszcze wyższe.

Z tego obszaru, nabytego przez komisyę, rozparcelowano do końca 1901 r. zaledwie 57 posiadłości większych o 30,590 hektarach i 38 posiadłości włościańskich o 1,333 hekt., mniej zatem, niż piąta część obszaru, została obsadzona kolonistami, przeszło cztery piąte jest dotąd w posiadaniu komisyi, nie kolonistów. Z tego obszaru rozparcelowano już, przygotowano do kolonizacyi, ale jeszcze nie obsadzono kolonistami 26,829 hekt. Jasnem jest, że te obszary, urządzone już na przyjęcie „Kulturträgerów,“ trzyma komisya nie dla czego innego, tylko dla braku odbytu, braku kolonistów. Z majątków, posiadanych przez komisyę, 45 o obszarze 24,120 hektarów, są w jej posiadaniu mniej niż 2 lata. Posiadłości te nie dały w roku sprawozdawczym dochodu, lecz przeciwnie przyczyniły wydatku 1,363,314 m., i to nie licząc melioracyi gruntów; zarząd fiskalny i wydatki na inwentarz, na reparacye itp. pochłonęły tę sumę. Lecz i majątki, pozostające więcej niż dwa lata w posiadaniu komisyi, nie dają intraty, a wymagają nakładu gotówką; takich posiadłości było w 1901 r. 11,287 hekt. i wydatkowano na nie 310,298 marek. Po trzecie majątki rozparcelowane, ale nie obsadzone kolonistami, przyczyniły wydatku 665,285 m. w ostatnim roku, a i w latach ubiegłych dokładano — z wyjątkiem dwu lat — regularnie.

Naogół więc komisya wydatkuje rok rocznie znaczne sumy na zarząd majątków, zanim zdąży je rozparcelować. Wprawdzie podnosi ona do pewnego stopnia kulturę tych majątków, i wydatki te mają być pokryte potem z renty, opłacanej przez kolonistów. „Mają być,“ ale czy zostaną rzeczywiście, to jeszcze pytanie. Dotąd wydatkowano w ten sposób około 25,000,000 marek.

Po za tem koszty melioracyi gruntów wynosiły dotąd około 8 mil. marek, a budowle pochłonęły 9 milionów; koszty administracyi (płaca urzędników) uczyniły 5,200,000 m. W ten sposób komisya wydatkowała do 31 marca 1901 r. (na zakup posiadłości do tej daty wydano 104,716,409 marek) w okrągłej sumie 158 milionów m. Dochód zaś wyniósł w tym czasie 3,340,000 m., z czego tylko 8,710,000 m. pochodzi z renty i sprzedaży ziemi, 17,000,000 z dochodu nierozparcelowanych majątków, reszta ze sprzedaży inwentarza kolonistom, zwrotu pożyczek itd. Topnieją więc miliony w rękach komisyi, jak śnieg marcowy, i w każdej innej gałęzi administracyi już dawno zapewne sejm wniósłby *veto* przeciw tego rodzaju gospodarce, lecz tutaj nienawiść polakożercza junkrów i narodowych liberałów, stanowiących większość, sprawia, że wszystkie sprawozdania zyskują aprobatę sejmu. Nienawiść ta przecież ślepą zupełnie nie jest: junkrowie wiedzą doskonale, że na tem wywłaszczeniu robią dobry interes, a że przytem trwonienie grosza publicznego jest nieuniknione — no to przecież stratę ponosi *plebs misere et contribuens*, tłum biedny i płacący.

Jakże przedstawia się sprawa kolonizacyi? Do końca 1901 r. osiedlono 4,695 kolonistów na 76,662 hektarach, których wartość oszacowano na 54,740,760 m., a więc przeciętna wartość hektara wynosi 714 m.

Pozornie zatem wartość przeciętna hektara, jaką policzono kolonistom, przewyższa cenę, za jaką komisya kupuje rolę. W rzeczywistości jednak skarb ponosi straty, gdyż owa nadwyżka nie pokrywa bynajmniej wydatków po za kupnem poniesionych. Prócz tego należy wziąć pod uwagę, że tej wartości szacunkowej koloniści nie spłacają gotówką, płacą tylko rentę i to, jak wiemy, nizką.

Ten stosunek wymaga pewnego wyjaśnienia: § 2 prawa w r. 1886 głosi: „Za posiadłości, oddawane osadnikom, państwo powinno być odpowiednio wynagrodzone. Posiadłości mogą być oddawane na własność, w zamian za kapitał lub rentę, albo wydzierżawione.“ Więc z góry już nie było mowy o zupełnem wynagrodzeniu państwa, a tylko „odpowiedniem.“ Z początku sprzedawano częściowo parcele, lecz później oddawano je, jak powiedzieliśmy, wyłącznie już na zasadzie prawa rentowego. Miało to cel bardzo wyraźny. Parcela sprzedana może przejść ewentualnie w ręce włościanina polskiego, posiadanie na podstawie prawa rentowego zapobiega temu: czynszownik nie może odstępować swoich praw bez zgody pobieracza renty, tj. w tym wypadku komisyi kolonizacyjnej. Z drugiej znów strony niewielu zapewne znalazłoby się amatorów na stanowisko czynszowników wieczystych; zastrzeżono więc, że nabywcy mają prawo wykupić się od renty — ale niezupełnie: mianowicie $^1/_{10}$ wartości parceli nie może być wykupioną, kolonista może nabyć prawo własności do $^9/_{10}$, lecz od pozostałej części musi „wieczyścić“ płacić czynsz; ten czynsz zaś daje komisyi, względnie państwu, prawo interwencyi przy sprzedaży posiadłości. Stosunek zatem układa się tak: kolonista wnosi majątek swój do kasy komisyi; jeżeli sam stawia budynki, to stawia je z tego swojego kapitału, z niego też czerpie kapitał obrotowy. Za ziemię natomiast nie płaci gotówką nic, a i rentę płacić poczyna, jeżeli budynki stawia własnym kosztem, dopiero w trzecim lub czwartym roku. 90% wartości szacunkowej ma prawo kupić na własność,

lecz zmusić go do tego państwo może dopiero po upływie lat 50. Amortyzacya jednakże nie ma zgoła miejsca: chcąc wykupić się od renty, kolonista musi ją spłacić albo odrazu, albo w ratach, każdorazowo dziesiątą część. Z drugiej znów strony państwo może żądać w charakterze wykupu tylko 25-krotną rentę, tj. musi kapitalizować po 4%, kiedy renta wynosi mniej, bo tylko 3% wartości. Wysokość renty, jaką płacić musi kolonista, nie jest stałą, określa ją każdorazowo komisya, lecz nigdy wyżej niż 3% wartości szacunkowej. Według sprawozdania ostatniego, wypracowano dotąd 203 planów parcelacyjnych większych posiadłości (część rozparcelowano, część parcel ma być dopiero obsadzonych), renta, jaką wyznaczono dla tych parcel wynosi w 151 wypadkach 3%, w 3 wyp. $2\frac{3}{4}$, w 25 — $2\frac{1}{2}$, w 4 — $2\frac{1}{4}$, w 9 — 2, w 1 — $1\frac{3}{4}$%. Renta więc na ogół wynosi znacznie mniej, niż 3%.

Lecz nie znaczy to jeszcze, że kapitał oprocentowuje się w ten sposób. Wartość bowiem szacunkowa parcel jest mniejszą znacznie od sumy wydanej na nie przez komisyę. Określa ją bowiem komisya w taki sposób, że bierze w rachubę cenę, za jaką nabyła ziemię, oraz wydatki, poniesione na jednorazowe zagospodarowanie majątku w całości, *nie bierze się zaś w rachubę* deficytu w czasie gospodarowania na tym majątku, zanim zostanie rozparcelowany. Z ceny ziemi potrąca się jeszcze wartość dawnych budynków dworskich, lasu, inwentarza. Rachunek zatem wypada taki: komisya kupuje majątek z inwentarzem i budynkami, sprzedaje za wartość bez budynków, inwentarza i lasu (oczywiście ze sprzedaży tych części majątku komisya może mieć dochód), kosztów zaś, jakie poniosła na zaprowadzenie lepszej kultury w majątku, nie liczy kolonistom. Tak samo nie liczy kosztów budowy kościoła, szkoły, probostwa i gruntów, przeznaczonych na użytek gminy. W ostatniem sprawozdaniu podano pięć przykładów, jak wygląda bilans urzędników i dochodu dla rozparcelowania majątków. Wieś Arkuszewo (przezwana przez komisyę „Arkusdorf"), została nabytą w r. 1893 za 396,494 marek; na melioracye wydano 27,426 marek, na drogi, dwa przytułki itp. 9,804 marek, na szkołę 16,131 m.; prócz tego gospodarstwo na tym majątku, zanim zostało rozparcelowane, przyczyniło deficytu 63,008 marek; dochody zaś wynosiły ze sprzedaży inwentarza, budynków itp. 46,010 m., wydatki zatem, poniesione na tę posiadłość przez kasę komisyi, wyniosły 467,853 m. Kolonistom natomiast policzono wartość wszystkich parcel na 413,889 m. (411,889 m. wynosi wartość parcel, oddanych na prawie rentowem, jedna parcela wartości 1,997 m. wydzierżawiona za 46 m.); ponieważ koloniści płacą renty 3% wartości szacunkowej, więc dochód roczny wynosi 12,403 m., co stanowi od kapitału powyższego 2,65%. Dla pięciu majątków razem wypada oprocentowanie nawet tylko 2,04%. W taki więc sposób kapitał komisyi oprocentowuje się mniej, niż po 3%, średnio wypadnie na pewno nie więcej, niż 2,5%, a jeszcze część kapitału, i to pokaźna, rozchodzi się na administracyę. Państwo zaś zaciąga długi po 4%: ludność więc podatkowa ponosi w samych procentach straty rocznie przeszło $1\frac{1}{2}$% od kapitału 200 milionów, tj. rocznie przeszło 3 miliony marek. I to w państwie, gdzie nigdy niema pieniędzy na wydatki kulturalne, gdzie ciężar podatkowy staje się niepomiernym!

Kolonistów, jak powiedzieliśmy, osadzono do końca 1901 r. — 4,695. Z tych jednakże nie wszyscy zostali sprowadzeni do Księstwa i Prus Zachodnich przez komisyę kolonizacyjną. Cyfry te co do pochodzenia kolonistów tak bowiem przedstawiają się, według sprawozdania urzędowego. Pochodziło: z Prus Zachodnich 807 kolonistów, z Księstwa 915, z zagranicy 301*), z Prus Wschodnich 38, z Brandenburgii 395, z Pomorza niem. 241, ze Śląska 201, z Saksonii 303, z Szlezwig Holsztynu 21, z Westfalii 616, z Hanoweru 213, z Hessyi 61, z prow. Nadreńskiej 78, z Wirtembergii 93, z Bawaryi 5, z Badenu 24, z innych poddanych niemieckich 383 — razem 4,695 kolonistów.

Tak więc 1,722 kolonistów pochodzi z włościan niemieckich, którzy już dawniej siedzieli na ziemi polskiej. Żywioł germański powiększył się zatem nie o 4,695 rodzin, lecz tylko o 2,973. Dalej należy wziąć pod uwagę, że z owych 301 kolonistów, powracających z zagranicy, część osiedliłaby się zapewne i bez komisyi kolonizacyjnej w naszych dzielnicach, ponieważ w innych prowincyach państwa niemieckiego ziemia dla nich jest zbyt droga, a i ogólne warunki najbardziej odpowiadają tym, w jakich ci wędrownicy przywykli gospodarzyć (zwłaszcza przybysze z Rosyi, nawykli do gospodarki ekstensywnej). Nakoniec cyfra 383 „innych poddanych niemieckich" wydaje nam się mocno podejrzaną: wylicza sprawozdanie skrupulatnie 21 przybyszów ze Szlezwiga, 5 z Bawaryi, a 383 nie umie wykazać, skąd pochodzą? W każdym razie wyniki są wprost śmieszne! Nakładem 208 milionów nasadzono mniej niż 3,000 kolonistów, śród kilkumilionowej ludności polskiej. Komisya nie wiadomo na jakich podstawach szacuje ilość głów owych rodzin kolonistów na 33,000; licząc bardzo hojnie, po 5 głów na rodzinę, otrzymamy dopiero 14,865 głów ludności niemieckiej, sprowadzonej przez komisyę kolonizacyjną do dzielnic polskich.

(D. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

*) Przeważnie włościanie koloniści niemieccy, powracający z Rosyi, gdzie im poczęto od lat kilkunastu stawiać trudności.

KRONIKA.

Wiadomości urzędowe. W „Zbiorze praw" ogłoszono Najwyżej zatwierdzone rozporządzenia komitetu ministrów, które postanawiają: Wprowadzoną zgodnie z Najwyższem Rozkazem z dnia 11 czerwca r. 1901, w niektórych guberniach i miejscowościach państwa wzmocnioną ochronę przedłużyć od d. 17 września 1902 roku jeszcze na jeden rok. Ogłosić ochronę wzmocnioną w kopalniach w Krzywym Rogu i w fabryce Grancowskiej, w gubernii Chersońskiej, w stanicy Gniłowskiej i fabryce żelaza Pastuchowa, w okręgu wojska dońskiego i w mieście Batumie. Ogłosić wprowadzenie ochrony wzmocnionej w czasie jarmarku w Niżnym Nowogrodzie od 14 lipca do 23 września i w przyległych powiatach: Niższonowogrodzkim, Bałachnińskim, Semenowskim i Gorbatowskim.

Wiadomości społeczne. Senat orzekł, iż wstrzymanie się od pracy w dni świąteczne nie jest przestępstwem karnem, niema bowiem prawa, krępującego ludność co do przepędzenia święta. Prawo zabrania tylko przymuszania w te dni do pracy, z wyjątkiem nadzwyczajnych konieczności.

— Ustawa paszportowa, obowiązująca w Cesarstwie rozszerzona zostaje z pewnemi zmianami w formalnościach na Królestwo Polskie. Jako dowód na prawo zamieszkiwania dla wszystkich mieszkańców Królestwa, zapisanych do ksiąg stałych, służyć będą bezterminowe książeczki paszportowe, wydawane przez wójtów gmin, burmistrzów i prezydentów miast, a w Warszawie przez komisarzów cyrkułowych. Wylegitymowane osoby pochodzenia szlacheckiego, w razie żądania, będą mogły otrzymywać paszporty z rządów gubernialnych lub od władz wyżej wskazanych.

— Na podstawie upoważnienia prezesa ministrów namiestnik hr. Piniński ogłosił wezwanie, ażeby ludność wiejska w Galicyi zachowała się spokojnie i legalnie. Namiestnik ostrzega zarazem, że „gwałty i zbrodnicze napady pociągną za sobą zastosowanie surowych wyjątkowych zarządzeń."

Szkoły i wychowanie. Z początkiem nadchodzącego roku szkolnego otworzone będzie w Warszawie przy ul. Brackiej, pod kierunkiem inż. Hensena, nowe siedmioklasowe gimnazyum realne. Wykład obejmie, oprócz zwykłego programu szkół realnych, także języki starożytne, począwszy od kl. 4-ej łacinę i od 5-ej język grecki. Na razie otworzone będą klasy przygotowawcza i pierwsze cztery.

— Komitet naukowy ministeryum oświaty, uznawszy pożyteczność płatnych kursów wieczornych przy średnich zakładach naukowych, dla osób postronnych, z zakresu literatury, historyi, ekonomii politycznej i filozofii, nadesłał do okręgu naukowego warszawskiego odezwę, według której otwieranie kursów wieczornych zachęcać winno do większego zainteresowania wykładających, oraz przyczyniać się do wzbogacenia i usystematyzowania ich wiadomości, dając możność przytem zbliżenia się nauczycieli szkół średnich do rodziców, posyłających dzieci swoje do tych zakładów naukowych. Nadto komitet naukowy uważa za pożądane, ażeby programy wykładowe sporządzali nauczyciele z możliwą starannością i w oznaczonym z góry kierunku, a to w celu ułatwienia słuchaczom zaznajamiania się z przedmiotami nietylko powierzchownie, lecz i gruntownie.

— Z zapisu dr. Kaczorowskiego wakować będzie z początkiem przyszłego roku akademickiego 6 stypendyów po rb. 300 dla młodzieży poświęcającej się naukom lekarskim. Pierwszeństwo mają krewni zapisodawcy: Kaczorowscy, Chilewscy, Strojeccy i Lechowscy. Kandydaci wnoszą winni prośby do warszawskiego Tow. lekarskiego (Niecała 7) najpóźniej do d. 15 września, z dołączeniem: 1) świadectwa władzy uniwersyteckiej o przejściu na kurs wyższy, z wykazaniem stopni otrzymanych na egzaminie przejściowym i poświadczeniem o wzorowem prowadzeniu się; 2) metryki urodzenia; 3) świadectwa ubóstwa; 4) treściwego opisu biegu życia; 5) kandydaci z rodzin mających pierwszeństwo w otrzymaniu stypendyum złożyć winni poświadczone urzędownie dowody o swem pochodzeniu.

— Przełożony szkoły sześcioklasowej realnej, p. Wojciech Górski, otrzymał pozwolenie na otwarcie klasy 7-ej.

— Towarzystwo lekarskie w Warszawie zawiadamia, że z początkiem roku akademickiego 1902/3 wakować będzie stypendyum w kwocie rb. 225 rocznie z legatu ś. p. dr. Ignacego Gołębiowskiego, przeznaczone dla studenta wydziału lekarskiego uniwersytetu warszawskiego, krewnego zapisodawcy; w braku krewnego stypendyum ma być przyznane innemu niezamożnemu studentowi medycy tegoż uniwersytetu, z wyboru Towarzystwą lekarskiego. Ubiegający się winni wnieść prośby do Towarzystwa lekarskiego najpóźniej do dnia 15-go września r. b. z dołączeniem następnjących dowodów: 1) świadectwa władzy uniwersyteckiej o przejściu na kurs wyższy z wykazaniem stopni otrzymanych na egzaminie przejściowym i poświadczeniem o wzorowem prowadzeniu się; 2) metryki urodzenia; 3) świadectwo ubóstwa; 4) treściwego opisu biegu życia (curriculum vitae). Krewni zapisodawcy, złożyć nadto winni dowody urzędownie poświadczone o pokrewieństwie z zapisodawcą.

Wiadomości naukowe. Tow. lekarskie ogłosiło 11 tematów do nagrody konkursowej z funduszu im. dr. W. Koczorowskiego. Autor najlepszej pracy, napisanej na którykolwiek z ogłoszonych tematów, otrzyma nagrody rb. 300. Termin ostateczny nadsyłania prac oznaczono na d. 31 marca r. p. Objaśnień szczegółowych o warunkach konkursu udziela sekretarz Tow. lekarskiego (Niecała 7), na którego też ręce składać należy rękopisy prac konkursowych.

Literatura i prasa. *Nowy Głos Polski*, wychodzący we Lwowie, zawieszony został przez wydawców na czas nieograniczony.

— Na konkursie, ogłoszonym przez *Kuryer Codz.* na fejleton, największą ilość głosów śród prenumeratorów pisma otrzymał utwór Stacha Kujawy (Izy Moszczeńskiej) p. t. „Rozmyślania sezonowe."

— *Goniec Łódzki* przeszedł na własność p. Władysława Rowińskiego.

Ze sztuki. Ku czci Fryderyka Chopina wmurowano w Marienbadzie tablicę pamiątkową na domu pod „Białym łabędziem," w którym wielki muzyk mieszkał 1836 roku.

— W Dole, w miejscu rodzinnem Pasteura, odsłoniono jego pomnik, wzniesiony kosztem miasta.

— W listopadzie r. b. otworzoną będzie w Moskwie wystawa projektów architektonicznych i kompozycyj z zakresu sztuki stosowanej w nowym kierunku.

Zdrowie publiczne. Cały Egipt uznany został zadotknięty cholerą.

— W Nagaski panuje cholera.

— W Porcie Artura ukazała się cholera śród Chińczyków i Rosyan.

— Prezes ministrów austryjackich wydał okólnik do ludności całego państwa, w którym, wskazując na niebezpieczeństwo i zaraźliwość gruźlicy, wzywa do energicznego zapobiegania niszczącej społeczeństwo chorobie

Komunikacye. Wprowadzoną została na wszystkich kolejach w państwie rosyjskiem nowa taryfa na przewóz podróżnych w klasie IV i ich bagażu. Podróżujący tą klasą opłacać będzie po ½ kop. za wiorstę, poczynając zaś od 921 wiorst — po 15 kop. za strefę 35—50-wiorstową. Na odległość powyżej 3010 wiorst dopłata za strefy 70-wiorstową wynosić będzie 20 kop. Za bagaże opłata pobieraną będzie po 1/12 kop. od puda i wiorsty, powyżej zaś 200 wiorst — z ustępstwem 15—30%. Wagony IV klasy mają być obowiązkowo dołączone do pociągów stałych w miejscowościach o większym ruchu robotniczym, w innych zaś — gdy się zbierze 40 osób jadących do jednej stacyi.

Katastrofy. D. 5 sierpnia pociąg osobowy, zdążający z Warszawy do Mławy, za stacyą Praga wpadł na parowiec manewrujący i rozbił się częściowo, na szczęście bez ofiar w ludziach. Służba kolejowa i kilku podróżnych zostało mniej lub więcej boleśnie potłuczonych.

— Pod Trebeins, w stanie Ohio, w Ameryce północnej, pociąg salonowy *express*, biegnący z Nowego Yorku do Chicago z szybkością 70 mil angielskich na godzinę, wpadł na węglarkę, która odczepiła się od pociągu; skutkiem tej przeszkody lokomotywa przewróciła się, a wagony wtłoczyły się jeden w drugi; prócz tego nastąpił pożar zdruzgotanego pociągu, gdyż zbiornik gazu, znajdujący się pod wagonami, eksplodował. Katastrofa nastąpiła w nocy; nad ranem znaleziono kilkanaście zwęglonych ofiar ludzkich i wiele ranionych mniej lub więcej ciężko.

— Nieopodal Singapore zetknęły się dwa parowce angielskie, „Prince Alexandre“ i „Ban hen Guin.“ Pierwszy zatonął, a wraz z nim 40 osób.

— Z Sydney donoszą, że w kopalniach węgla w Mont-Kembla (Nowa Walia) zdarzył się wybuch gazu. Uratowano 150 górników; zasypanych jest stu kilkudziesięciu. Kopalnie stoją w ogniu.

— W Nagy Szölos na Węgrzech nawałnica zrządziła olbrzymie szkody; znaleziono w polu kilku ludzi zabitych gradem.

Zmarli. Ks. Romuald Zaymus, w Bytczycy; założyciel „Macierzy słowackiej“ i „Muzeum słowackiego.“

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Z. J. Dzieło Loria, o które Sz. Pani zapytuje, nie ukazało się jeszcze, o ile wiemy, w przekładzie polskim. Psychologia Höffdinga wychodzi w Bibliotece samokształcenia. „Opowstawaniu praw moralnych“ A. Świętochowskiego wyczerpane.

Stałemu prenumeratorowi. Była wzmianka w nr. 30 w rubryce „Zmarli.“

Pani M. K. Wiadomość zaczerpnęliśmy z pism codziennych, które ją powtórzyły za rosyjskiemi, nie podając bliższych szczegółów; i my ich przeto nie możemy Sz. panu udzielić.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Іюля 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.